

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 12 maja 1946 r.

Nr 19 (76)

ZBIGNIEW PRZYGÓRSKI

Na fałszywych tropach

LUD MAZURSKI CZEKA NA BRATERSKA DŁOŃ

Dobrze się stało, że Ludwik Łakomy w numerze 68 „Odrodzenia” przypomniał Polsce o istnieniu tajemniczej ciągle dla ogółu Polaków krainy, jaką jest odzyskana Ziemia Mazurska.

Od czasu do czasu pojawiają się w prasie artykuły i notatki o tym smętnym (koniecznie! — bo od „Smętka”) zakątku Polski, tu i ówdzie pomiędzy wierszami padnie liryczna łezka nad losem odwiecznego mieszkańca borów i mokradeł, Mazura, czasami zerwie się głos mocniejszy, krzyk nieomal lub wołanie o ratunek... Po czym znowu zapada poprzednia beztroska cisza znamienująca, że kłopotliwe podniecenie już minęło i można ze spokojnym sumieniem powrócić do wdzięczniejszych tematów, jak np. odbudowa Warszawy czy proces w Norymberdze...

Wszystkie te opisy i reportaże impresje o Mazurach mają charakter fragmentaryczny, przypadkowy i wielce subiektywny. Nie jest też wolny od piętna subiektywizmu artykuł wspomnianego autora, opatrzone ryzykownym tytułem: „Kraj niemych”. Dziwny pesymizm więcej z tych wyrazów rzuconych widocznie na papier w przystępie minorowego nastroju, rozgoryczenia i pilnego studiowania niemieckiej publicystyki. W dociekaniach etnologicznych i historycznych obowiązuje dobór pewniejszych źródeł niż Ernest Wiechert, a i sam nasz Srokowski wydał wiele fałszywych sądów o Mazurach. Starajmy się spokojnym okiem rozejrzeć po północnych peryferiach Polski, bezstronnie oceniając ludzi, kraj i zjawiska.

CO TO ZA LUDZIE?

Ludźmi „niemymi” nazywa Mazurów nowy polski publicysta. Niemota Mazurów wywodzi się — wedle autora — „z ich osobowości, zepchniętej na piachy i jeziorzyska, znajdującej się pod przemożnym wpływem Niemców”. Lecz jest to nie tylko naród niemy, ale i „tępy, skłonny do przeciwstawiania się czynnikom władzy z pobudek materialnych, niezdolny do odczuwania własnej niższości i do wydania z siebie przywódców i kierowników ideowych”. Nie można chyba jednym tchem więcej złego powiedzieć o kimś, kogo się wcale nie zna.

Zobaczmy, ile w tym słuszności.

Od wielu miesięcy wsłuchuję się w mowę Mazura, w swoją ojczystą mowę i nie udało mi się dotychczas wykryć żadnych znamion zanikowych. Wprost przeciwnie. Natrafiłem właśnie tu, na tym skrawku nieznanego mi dotąd wodolądu, na zjawisko zdumiewającej odporności na wpływ obcego języka. Polak emigrujący do Ameryki, już w drugim pokoleniu zatracą język ojczysty, a tutaj, mimo „przemożnego” wpływu niemieckiego trwa w swym uporze językowym przez 20 pokoleń, nie roniąc nic z piękności i cech języka. Jest to zjawisko wyjątkowe w dziejach językoznawstwa i wymaga bliższych studiów. Nestor historyków pruskich Krzysztof Hartknoch, urodzony na tej ziemi, autor dzieła „Alt- und Neues Preussen” (rok 1684) stwierdza odwieczną i niepożyłą siłę języka polskiego i jego szybki, skuteczny wpływ na zanik mowy dawnych Prusów (Emilia Sukertowa Biedrawina, „Zarys piśmiennictwa polskiego na Mazurach Pruskich”, Działdowo, 1935).

Właśnie Prusy Wschodnie, nie Małopolska ani Wielkopolska, są kolebką literatury polskiej. Na uniwersytecie królewieckim, założonym przez księcia Albrechta Hohenzollerna, studiuje młodzież polska ze wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej, w Królewcu pojawiają się w druku pierwsze polskie postylle, tłumaczenia tekstów biblijnych i kancjonały. Tutaj też, w Królewcu, wychodzi w roku 1718 pierwszy numer czasopisma polskiego „Pocztą Królewiecka”. Wojciech Kętrzyński stwierdza, że tak drukarz, jak redaktor i sekretarz redakcji byli rodowitymi Mazurami (Wojciech Kętrzyński, „Pocztą Królewiecka”, „Przewodnik Naukowo-Literacki”, Lwów, 1880).

Wystarczy wymienić tylko kilka głośniejszych nazwisk rodowitych Mazurów, jak Andrzej Helwig z Węgoborka, znakomity botanik, obaj Tschepiusowie, Maciej i Samuel, z rodu Trzepskich, uczeni, pisarze, językoznawcy i wydawcy, Krzysztof Celestyn Mrąga-Mron-govius rodem z Olsztynka, ksiądz, uczony, filolog i tłumacz, Herman Marcin Gustaw Gise-vius z Płisza na Mazurach, tłumacz, wydawca i autor wielu dzieł, wreszcie Wojciech Kętrzyński

ski rodem z Łuczana na Mazurach, znakomity historyk polski i znany Jan Karol Zembrzycki, pisarz i wydawca, również Mazur z urodzenia, Feliks Nowowiejski, kompozytor, rodem z Wartemborka i Michał Kajka, poeta ze Skomacka — aby obalić lekkim pchnięciem krzywdzący sąd o niemocie ludu mazurskiego i braku wśród nich przywódców duchowych.

Przeciętny Mazur to spokojny, lecz twardy i pracowity człowiek, orzący w pocie czoła swe mało urodzajne piachy polodowcowe, znoszący bez szemrania kaprysy przykrego klimatu, prowadzący oszczędnie i z wyrachowaniem, ale zawsze wzorowo swoje gospodarstwo. Nie ma on błyskotliwego umysłu ani przebiegłości warszawianina, za to ma wiele innych pożytecznych cech charakteru, jakich by ze świecą szukać u jego rodaków z południa Polski.

Tragedia, jaką przeszedł w ciągu stuleci, jest jedyna i bezprzykładna. Mimo jednak nacisku germańskiego po upadku politycznym Polski królewskiej, Mazur trwa w wierności dla Macierzy, podtrzymywany na duchu przez swych przywódców. Klęska poniesiona w plebiscycie w roku 1920 wskutek niesłuchanego terroru niemieckiego nie ugina go, lecz jeszcze bardziej umacnia w wierze w słuszność sprawy. Cały szereg działaczy plebiscytowych, rodem z Prus, naraża swe życie w walce o najdroższe ideały. Haniebnie zamordowany w czasie plebiscytu przez bojówkę niemiecką Bogumił Linke, potem Jan Jagiełłowicz, działacz plebiscy-

towy, kawaler Krzyża Niepodległości i Zasługi, ściety toporem w czasie ostatniej wojny w Berlinie, Reinhold Barcz, redaktor „Głosu Ewangelijnego”, ściety przez hitlerowców toporem w Berlinie, dr Kurt Obitz, redaktor „Cechu”, wywieziony w czasie ostatniej wojny do Dachau, Warmiak Seweryn Pieniężny, redaktor i wydawca do dnia 1 września 1939 „Gazety Olsztyńskiej”, wywieziony i zamordowany w 1940 roku w obozie pod Królewcem, oraz inni — kwiat inteligencji polskiej na Mazurach, tyśiące ludzi wywiezionych i wygubionych.

Mówiąc o przywódcach wypada jeszcze wspomnieć o żyjących, aby uzupełnić ten różniczek nazwisk rodowitych Mazurów, którzy dla Polski coś znaczyli i znaczą: Karol Małłek, inicjator i obecny kierownik Uniwersytetu Ludowego w Pasymiu i prezes Instytutu Mazurskiego, Lejk-Różyński, były przewodniczący Mazurskiego Związku Ludowego w czasie plebiscytu i polityk, Jerzy Burski, wicewojewoda i prezes Związku Samopomocy Chłopskiej, Korolewicz-Wilamowski, wybitny spółdzielca i dyrektor „Społem”, mgr Hieronim Skurpski, kustosz Muzeum Mazurskiego w Olsztynie, Gustaw Leidink-Mielecki, autor słownika nazw geograficznych i b. redaktor „Przyjaciela Ludu” na Mazurach, Władysław Woźniak, obecny starosta szczeciński, ks. Jan Szczech, działacz ludowy, dr Szymański, dyrektor Izby Rzemieślniczej w Olsztynie i autor słynnej broszury „Mazury Prus Wschodnich przed zagładą”,

Jan Majkowski, działacz, Bogumił Labusz, Jerzy Wróbel, więzień Majdanka, Teofil Raczyński, poeta; a z Warmiaków: Paweł Sowa, naczelnik kuratorium, Maria Ziętarówna, poetka, płk Bernard Szczepański, Jan Boenick, kierownik Instytutu Warmińskiego w Moragu, Pietrzak-Pawłowski, dyrektor Związku Rewizyjnego Spółdzielni i inni.

Nie 300 tysięcy, ale 450 tysięcy (wedle źródeł niemieckich) było Mazurów w Prusach Wschodnich przed zastosowaniem przez Niemców gwałtownego systemu germanizacyjnego z końcem XVIII w. Dzisiaj w wyniku dotychczasowej akcji repolonizacyjnej jest ich zaledwie 60 tysięcy. Co się stało z resztą? Gdzie się podział „szczep” prawdziwie polski, którego nie zmogła wieki trwająca Hakata? Na to straszne pytanie można odpowiedzieć tylko jednym słowem: **wojna**. Hitler posłał na śmierć wiele tysięcy młodego i średniego rocznika przez obowiązkowy pobór do wojska niemieckiego, starsi wyginęli w toku zacieklej ofensywy w Prusach. Szczegóły opowie nam kiedyś historia.

W tym stanie rzeczy można przyjąć za pewnik, że zdziesiątkowana ludność mazurska skończyła już właściwie swoją rolę dziejową i nie podźwignie się nigdy do dawnej świetności. W obliczu bolesnej tragedii, jaką przeżyła dziś reszta niedobitków, nie wolno nam stwarzać żadnych sztucznych, teoretycznych różnic etnicznych ani narzucać krzywdzącego kompleksu niższości dzielnemu ludowi, któremu rodzinny bór mazurski wyśpiewał już dziejowe „Requiem aeternam”...

Dziękiem wszystkich uczciwych Polaków, którzy przyszli w drodze repatriacji czy dobrowolnego osiedlenia na Mazury, winno być otoczenie troskliwą opieką pozostałych przy życiu autochtonów, aby przez podźwignięcie ich z upadku duchowego i stworzenie im odpowiedniej atmosfery, sprzyjającej koniecznemu procesowi asymilacji, wytworzyć jednolity typ obywatela, już nie Mazura, ani Warmiaka, ani przesiedleńca z Warszawy, ani repatrianta z Bugu, z Wołynia i Lwowa, lecz — Polaka.

Nadarza się pierwsza większa sposobność ku temu, aby okazać ludowi mazurskiemu sprawiedliwość i wdzięczność za wytrwanie w polskości. Wysiedlanie Niemców z województwa mazurskiego odbędzie się w ostatniej fazie wysiedlań. Jest dość czasu na przeprowadzenie ścisłej selekcji, celem uratowania kilku tysięcy Mazurów. Sytuacja tutaj jest odmienna od sytuacji na ziemiach zachodnich. Obawa przeniknięcia obcego elementu jest minimalna. Przy sprawnym działaniu komisji narodowościowych sprawdzenie rodowodów 90 tysięcy osób, objętych statystyką jako Niemców, nie powinno natrafiać na żadne trudności. Sumienne wykonanie tej pracy będzie sprawdzianem naszej dojrzałości obywatelskiej, a zarazem ustrzeże nas od fatalnego błędu, któryśmy już raz, na jesieni ubiegłego roku, z krzywdą dla wielu Mazurów, a ze szkodą dla własnej opinii, popełnili.

*

Wojna, która przekształca oblicza państw i zmienia ich granice, lubi płać figle nawet prorokom. Jeszcze w 1925 r. Stanisław Srokowski twierdził, że uczynienie z Prus Wschodnich polskiej prowincji należy do rzeczy nieprawdopodobnych (St. Srokowski, „Z krainy czarnego krzyża”, Poznań, 1925). Jeżeli uczeni, zasugerowani wynikiem plebiscytu z 1920 roku, położyli niejako krzyżyk na Prusy Wschodnie, to cóż mówić o ogóle polskim, słabiej orientującym się w zagadnieniach historycznych i politycznych. Posłuszni literze prawa niesprawiedliwego traktatu wersalskiego, przestaliśmy się zajmować Warmią i Mazurami. Podręczniki szkolne nie uwzględniały tego tematu. Całe jedno pokolenie wzrosło w nieświadomości zagadnienia i ignorancji dla prastarej polskiej ziemi. Skutki zaniedbania mszczą się dzisiaj przy obejmowaniu tej ziemi w posiadanie przez państwo polskie.

CO TO ZA KRAJ?

Jeszcze czerwieniły się łuny pożarów, gdy na Mazurach zjawili się pierwsze grupy Polaków. Byli to polscy kolejarze. Za nimi w miesiącu marcu przyszły drobne zespoły pionierskie. Nie wiedziały one nic o wynikach konferencji poczdamskiej, lecz postanowiły robić tu Polskę. I zrobiły. Rok temu kilkudziesięciu mieszkańców Olsztyna czerpało wodę do picia i mycia z jednej brudnej sadzawki na pla-



Miniatura w modlitewniku księcia Jerzego na Ziembicach i Oleśnicy z roku około 1500 z przedstawieniem Matki Boskiej i księcia. Miniatury tego modlitewnika łączą się stylistycznie z kodeksami zamawianymi przez Władysława Jagiełłończyka, króla Czech i Węgier. Ujawniają też one wpływ sztuki niderlandzkiej.

cu Kopernika, nie zrażając się widokiem zdechłego konia, który spokojnie spoczywał na dnie bajorka; dziś rury wodociągowe doprowadzają wodę do każdego domu. Pierwszy człowiek, który opodal dzisiejszego gmachu województwa rozłożył na małym stoliku swój towar w postaci 2 kg słoniny i udawał kupca, był przedmiotem złośliwych żartów. Nie został uwieczniony tylko z braku fotoreportera „Przekroju”. Dzisiaj nie ma w województwie lokalu nie wyzyskanego na spółdzielnię i sklepy. Jeszcze w kwietniu ub. r. życie ludzkie nie posiadało tu większej wartości niż strzęp garderoby, dzisiaj władze bezpieczeństwa i milicja czuwają nad życiem mieszkańców, a mroki nocy rozprasza światło, dostarczane przez 7 odbudowanych elektrowni. Jedynym środkiem lokomocji były nogi ludzkie, a w najlepszym wypadku przygodne auto wojskowe; dzisiaj koleje przecinają województwo we wszystkich kierunkach, w dniu 1 maja br. ruszyły w Olsztynie tramwaje, i w tymże miesiącu maju zostanie oddany do użytku Kanał Warmijski, 177-kilometrowy szlak wodny, łączący południowe powiaty województwa z Bałtykiem. W przeciągu kilku miesięcy dokonano tu ogromnej pracy. Znam ludzi, którzy przyszli tu pierwszy i mimo że mieli dość sposobności do wzbogacenia się, nie wyszli dotychczas poza swój prosty tryb życia. Jedynym motorem ich życia jest praca i zadowolenie z osiągniętych wyników. Za daleko są od Warszawy, aby dosięgły ich krzyże zasługi. Oczywiście nie wszyscy na nie zasługują. Dla wielu stosowniejsza jest krata więzienna. Oprócz bowiem pospolicich i niepospolicich opryszków i złodziei na ziemi mazurskiej, najdłużej pozbawionej połączenia ze stolicą i do dzisiaj nie posiadającej kabla telefonicznego z Warszawą, znaleźli swą mysią norę przestępcy z okresu okupacji.

Nie należy się ludzić, że województwo będzie szybko samowystarczalne. Okres odbudowy potrwa kilka lat. Olbrzymie zniszczenia miast i wsi stawiają zrujnowany, spalony i ogołocony okręg w położeniu dłużnika. Sumy zaplanowane przez obecnego wojewodę mazurskiego dr. Z. Robla na odbudowę województwa idą w miliardy. Kredyty te jednak znaleźć się muszą, gdyż dłużnik jest wypłacalny.

GLEBA

Województwo mazurskie nie posiada ciężkiego przemysłu. Poza olbrzymimi złożami torfu, rudy darniowej i cennego wapienia oraz węgla brunatnego na pograniczu powiatów olsztyńskiego i niborskiego, nie ma tu w ogóle bogactw mineralnych. Jako kraj na wskroś rolniczy, obszar mazurski nie posiada w chwili obecnej tej siły atrakcyjnej, co Śląsk. Jest rzeczą zrozumiałą, że cały wysiłek rządu polskiego skierowany został w pierwszym etapie odbudowy na tereny szybko rentowne. Węgiel i ruda żelazna są czynnikami, które dźwigną kraj na nogi. Byłoby jednak wielce niebezpieczną rzeczą odwracanie uwagi od północnych rubieży naszego państwa. Naturalne warunki gospodarcze tego terenu czynią zeń jedną z najbardziej obiecujących części naszego organizmu gospodarczego.

Podstawą gospodarki na Mazurach jest rola. Lekka gleba i bardzo zmienny klimat wymagają od rolnika dużo hartu i pracy. Wołniak, przyzwyczajony do tego, że ziemia sama za niego pracuje, na widok piaszczystej ziemi ucieka stąd czym prędzej. Ważną jest więc kwestia, czym ręką powierzchnię uprawę roli. Najbardziej odpowiednim materiałem ludzkiem wydaje się repatriant z Wileńszczyzny: cierpliwy, pracowity i mało wymagający, znajduje tu identyczne niemal z opuszczonymi warunki klimatyczne i glebowe. Troską władz osiedleńczych winno być zatrzymanie za wszelką cenę w granicach województwa tego wartościowego pracownika rolnego.

Akcja osiedleńcza na Mazurach potoczyła się odwrotną od normalnej koleją. Najpierw zjawili się szabrownik, który ograbił okręg. Potem przyjechał kupiec, który otworzył sklep, nie miał co sprzedawać. Po nim przyjechał urzędnik, który przy akompaniamencie głodnego żołądka wybijał na makulaturze niemieckiej ważne pieczęcie. W końcu dopiero zjeżdża rolnik, który ma wszystkich wyżywić. Rolnikowi temu, który przywozi ze sobą bardzo małą ilość inwentarza, trzeba sprawić narzędzia rolnicze, dać nasiona, kupić bydło i konie. Trzeba mu dać możliwość natychmiastowego zaopatrzenia się w trzodę chlewną, od czego uzależniony jest rozwój gospodarczy tych ziem.

Przy pełnym zaludnieniu i po wyposażeniu rolnika w konieczny sprzęt rolniczy i żywy inwentarz, województwo mazurskie może w niedługim czasie stać się spichlerzem zbożowym całej Polski. Z gospodarką rolną wiąże się ściśle gospodarka hodowlana, która znajduje tu doskonałe warunki rozwoju, szczególnie w powiatach północnych. Ta zaś stwarza duże możliwości rozwojowe dla przemysłu przetwórczego. Prusy Wschodnie jeszcze w okresie poprzedniej wojny żywiły przeszło 2-milionową ludność własną oraz odstawały do Niemiec rocznie ponad 500 milionów kg zboża i eksportowały 15.000 koni, 220.000 wołów, 60.000 owiec, 650.000 świń, 126.000 q masła i 394.000 q sera. Sądząc z zatrudnienia na roli półmilionowej liczby jeńców wojennych w czasie ostatniej wojny, produkcja rolna Prus Wschodnich była o wiele wyższa. Jak z tego widzimy, województwo mazurskie mo-

że odegrać dużą rolę jako kraj żywicielski, czego lekceważyć nie można.

Jak jest dzisiaj?

Trudno w tej chwili dawać jakieś konkretne cyfry i stawiać przepowiednie wobec ciągłej fluktuacji ludności i zaczętej dopiero na większą skalę repatriacji. Życzyć by sobie należało energiczniejszej akcji osiedleńczej oraz przyspieszenia powrotu wywiezionych do Niemiec, Danii i Norwegii Mazurów i Warmiaków. Bowiem ludność autochtoniczna i repatriant ze wschodu stanowią będą trzon, na którym opierać się tutejsza gospodarka rolna.

Mówiąc o gospodarce rolnej i łącząc z nią duże nadzieje, trzeba również wspomnieć o wadliwym podziale administracyjnym województwa. Postulat rewizji granic województwa mazurskiego, wysuwany ostatnio coraz śmielej przez prasę, jest słuszny. Zarówno względów historycznych, jak językowych, etnicznych i gospodarczych przemawiają za koniecznością włączenia z powrotem do województwa urodzajnych powiatów nadwiślańskich: malborskiego, sztumskiego i kwidzińskiego oraz Elbląga, który jest naturalnym zapleczem przemysłowym okręgu. Bez nich województwo mazurskie będzie terenem gospodarczo martwym i niejako kulą u nogi całego państwa.

JEZIORO

Nie ma przesady w nazwie „kraina tysiąca jezior”. Na obszarze województwa mazurskiego znajduje się dokładnie 1060 jezior o powierzchni 99.665,52 ha czyli około 5% obszaru województwa zajmują wody. Jeziora zgrupowały się najobficiej w powiatach: olsztyńskim, suskim, łuczańskim, szczygieńskim, ostródzkim, węgorbskim, morąskim i piskim. Słynny jest kompleks jezior pomiędzy Łucznanami a Jańsborskiem, z olbrzymimi jeziorami Sniardwy, Mamry i Dąbiejmy na czele. Tworzą one przy pomocy mnóstwa cieśnin, rzek i przepustów oraz Kanału Mazurskiego olbrzymi 250-kilometrowej długości szlak wodny, łączący dorzecze Narwi z Królewcem.

Bogactwo wód sprzyja rozwojowi przemysłu rybnego, który jest drugim elementem gospodarki na Mazurach. Niemcy z terenu, określo-

nego obecnymi granicami województwa, produkowali około 2500—3000 ton ryby rocznie, lecz w niektórych gałęziach gospodarki rybnej nie wyszli poza dziedzinę bezproduktywnego eksperymentowania. Pięknie zaczęta przez naszych wybitnych ichtologów praca rokuje tej gałęzi przemysłu dobrą przyszłość. Już dzisiaj ryba zastępuje w województwie mięso zwierzęce. W roku bieżącym produkcja ryby wyniesie około 1000 ton. Zdaniem fachowych kół będziemy mogli w przyszłości nie tylko zaspokoić rybą mazurską rynek wewnętrzny, lecz również wysyłać znaczną ilość tego produktu za granicę. Jeziora mazurskie zawierają wysokie gatunki ryb, jak sieja, sandacz, sielawa, węgorz, lin, szczupak, leszcz i inne. Rybostan obecny jest słaby na skutek wyniszczenia materiałami wybuchowymi w czasie wojny. Do udoskonalonych sposobów rybołówstwa należało ogłuszanie ryby przy pomocy bomb zrzuconych z samolotów. Podniesienie zatem produkcji będzie możliwe dopiero z chwilą pełnego obsadzenia wszystkich ośrodków rybackich rybakami, zaopatrzenia ich w potrzebny sprzęt rybacki i zarybienia jezior nowym narybkiem. W ubiegłym tygodniu wprowadzono do 6 jezior mazurskich 4 miliony narybku sielawy, wyhodowanego w sztucznej wylęgarni w Szwaderkach. Kiedy rolnik na Mazurach rzuci w ziemię pierwsze ziarno, rybak z ufnością powierza jezioru miliony drobniutkich stworzeń, stanowiących jego przyszły plon.

LAS

Trzecią ważną gałęzią gospodarki na Mazurach jest las. Szczególnie obficie występuje on w równoleżnikowym pasie południowego obszaru województwa od Iławy po Jańsbork, z dużą odnogą na północ do Węgoborka. Jest to właściwie jedna wielka knieja, w którą wrabiał się mieszkaniec tych terenów. To bogactwo lasów wyznacza województwu jedno z najlepszych miejsc wśród producentów drzewa w Polsce, a dla odbudowy zniszczonego kraju stanowi naturalny rezerwuár drzewny.

Przeróbka jednak surowca musi być dokonywana na miejscu i wymaga uruchomienia kilkudziesięciu tartaków i zakładów fabrycz-

nych. Dotychczasowa gospodarka w tej dziedzinie nie wyszła poza fazę zaplanowania i oczekiwania na kredyty. Ponieważ kapitał, złożony w gospodarce leśną, zwracałby się w najkrótszym czasie i to z wysokim procentem, państwo powinno jak najszybciej wspomóc wysiłek władz leśnych na tym terenie.

Te trzy elementy: rola, las i jezioro stanowią podstawę gospodarki na Mazurach.

KRAINA PIĘKNA I PAMIĄTEK

Mała atrakcyjność województwa mazurskiego wypływa ze słabego zainteresowania się Polaków tą uroczą krainą. Nie waham się powiedzieć, że Mazury są jednym z najcudowniejszych zakątków Polski. Nigdzie bogactwo pól, lasów i wód nie osiągnęło tak pełnego i harmonijnego wyrazu w przyrodzie jak tutaj.

Powstają zakłady naukowe, świetlice, muzea, kina. Jest pionierski lecz ambitny stały teatr w Olsztynie. Tworzą się zespoły chóralskie i muzyczne. Wychodzi prawdziwy dziennik „Wiadomości Mazurskie”, wydawany w niesłychanie ciężkich warunkach technicznych. Dotychczasowa prasa i książki, huczą głośniki radia.

Na prastare ziemie polskie wkracza tryumfalnie nowa Polska.

Z każdego kąta wyzieraają pomniki naszej przeszłości: zabytki architektoniczne, dzieła sztuki, grobowce, pamiątki po królach i biskupach polskich od Hozjusza do Krasickiego. W tumie fromborskim spoczywają prochy Mikołaja Kopernika.

Spod pokostu niemieckiego wychodzi na światło dzienne prawda o Polsce. Nazwom miejscowości przywraca się ich pierwotne polskie brzmienie. Pośród odzyskanych obszarów ziemia mazurska odznacza się najobfitszą ilością pamiątek kultury polskiej.

W okresie Zielonych Świąt odbędzie się w Olsztynie uroczystości regionalne, połączone z przejażdżką po okręgu. Może przedstawiciele prasy polskiej, którzy otrzymali zaproszenia na te „Zielone Gody”, urzeczni urokiem przyrody, wymową pamiątek i pięknem dialektu mazurskiego, przekażą Polsce ponętniejszy obraz tej krainy niż ten, który wyszedł spod pióra L. Łakomego.

Zbigniew Przygórski

KRYSTYNA KULICZKOWSKA

Ballada „Powrót taty” jako baśń dla dzieci

1

Jakież dziecko na przestrzeni ostatnich lat dwustu nie znało baśni o Kopciuszku, Czerwonym Kapłurku, Tomciu Paluchu, Jasiu i Małgosi? Któż z nas w rytm tych cudownych opowieści nie kształtował swych pierwszych pojęć o świecie? Trudno by wskazać utwory, które mocniej wrosły w świadomość dziecięcą, które stały się w tak pełnym tego słowa znaczeniu — własnością społeczną. A jednak któż dzisiaj wie, że autorem tych baśni był Charles Perrault, wytworny poeta, który żył i tworzył w blasku dworu Ludwika XIV? Jeszcze mniej znany jest fakt, że owe — zdawać by się mogło — idealnie przystosowane do potrzeb dzieci — opowieści, nie były wcale dla nich pisane, lecz stanowiły tylko jeden z przejawów modnych wówczas „contes de fées...”¹⁾

Zasługa Perraulta polega na tym, że on to właśnie w dobie salonowej mody na czorodziejskie opowieści zerwał z konwencjonalną fantastyką, której wytwory uwieńczył wraz z błyskotliwą epoką i dokonał rzeczy iście czarodziejskiej: odczytał i wyprowadził na światło dzienne motywy baśniowe, kreślił jakby sympatycznym atramentem w wyobraźni ludu. Przez półtora wieku nie wiadziiano, na jakich opierał się źródłach, aż do chwili, gdy do tych samych wątków dotarli naukowe badania braci Grimmów, utrwalone w zbiorze „Kinder- und Hausmärchen”.

Baśnie ludowe Perraulta i Grimma stały się mitami wieku dziecięcego z racji swego prymitywizmu, świeżości i fantastyki i nie jest sprawą istotną, czy były one dla dzieci przeznaczone, a ważne jest jedynie, że wierały przez długie lata pożądany wpływ wychowawczy. Dzisiaj umiemy to uzasadnić, rozumiemy analogie między magicznym światopoglądem dziecka, a fikcyjnym światem baśniowej cudowności, wiemy, że ta irracjonalna podbudowa jest koniecznym szczeblem późniejszej obiektywnej wiedzy o życiu — lecz dawniej, przed dwustu i stu pięćdziesięciu laty motywy te trzeba było nieoficjalną drogą przemycić do kraju dzieciństwa, obwaro-

wanego ciężkostrawnymi elaboratami, produkowanymi w laboratoriach pedagogów, a nie artystów.²⁾ Taką „kontrabandą” były w Anglii broszurki brukowe, zawierające ułamki średniowiecznych historii o Eulenspieglu, „Czterech synach Aymona” i „Pięknej Meluzynie”, a także taniości książeczki Johna Newbery o „Tomciu Trip” i „Goody two Shoes”, które wydawał ukradkiem, sprzedając jednocześnie środki apteczne, by nie umrzeć z głodu...

Zubożylibyśmy dzieje literatury dziecięcej, gdybyśmy pominęli ten nieoficjalny nurt twórczości, gdyż jedynie tą drogą mogła przedostać się do nich — baśń fantastyczna, a wraz z nią — prawdziwa poezja, wbrew legalnej literaturze dydaktycznej, która niosła ze sobą zwieżia, trzeźwość i zamaskowaną jak rebus — bajkę. Zagadnienie — bajka czy baśń? — było od najdawniejszych czasów trzonem wszelkich pedagogicznych debat nad literaturą dla dzieci. W różnych okresach dziejów, zależnie od tego, czy dominował racjonalistyczny, czy idealistyczny kierunek wychowawczy, przyznawano prawo pierwszeństwa bajce lub baśni. Spór ten został przed kilkudziesięciu laty rozstrzygnięty — bodaj już definitywnie, gdyż w oparciu o bezsporne potrzeby psychiki dziecka — na korzyść baśni.

Tym bardziej interesuje nas dzisiaj moment, w którym utwór literacki oparty na motywach baśni ludowej został po raz pierwszy oficjalnie przeznaczony „ad usum delphini”. Tym utworem był „Powrót taty”, przedrukowany przez Stanisława Jachowicza w „Pamiętce dla dobrych dzieci” (Warszawa, 1827).

2

Pierwsze dwudziestopięciolecie wieku XIX było królestwem bajki dydaktycznej. Począwszy od roku 1805, gdy zostały wydane „Bayki i przypowieści tudzież bajki nowe Ignacego Krasickiego z przydaniami bajek różnych autorów dla użytku dzieci”, posyłały się tłumaczenia bajek Ezopa, Florianą, La Fontaine’a, Gizota. Bajkę gloryfikowali wychowawcy jako kwintesencję mądrości życiowej, jako zbiór wskazówek moralnych wiodących najprostszą drogą do zdobycia wszelkich cnót. Bajeczki Jachowicza były tylko miniaturą bajek dla dorosłych, zawierały te same zwężki formułek moralne, tylko poparte przykładami zaczerpniętymi z blisko gołego otoczenia. Popularność tych bajek, niewątpliwie pożądana ze względów społecznych, przypieczętowała na długo (bowlęm w dziedzinie literatury dla dzieci eks-

ploatowano do znudzenia raz przyjęty schemat) błędy pewnej metody wychowawczej.

Zrozumiałą jest rzeczą, że w tym okresie baśnie fantastyczne były na indeksie. M-me Leprince de Beaumont gani je jako sprzeczne z rozsądkiem i doświadczeniem, pani de Genlis potępia jako wszczepiające fałszywe poglądy, a znany pedagog Ewaryst Estkowski w „Tygodniku dla Dzieci” tak oto wyjaśnia polskie podania ludowe, których bakcyle rozproszone w atmosferze rozkwitającego romantyzmu stanowiły poważne niebezpieczeństwo: „Dzieci moje, możebyście żal do mnie miały, że pomijam sposobność sprowadzenia was z drogi baśni na drogę prawdy... Smoków na świecie nie ma i co o nich bają to bajki, a co o jego spaleniu opowiadają, to oczywiście brednie, bo siarka bez przystępu powietrza palić się nie może ani w niezwykłym baranie, ani w brzuchu smoka... O myszach już wam nie ma co mówić, gdyż wiecie z codziennego doświadczenia — że myszy przed wami małyimi dziećmi uciekają, a jakżeby starych ludzi zagryzać mieli...”

Jachowicz zwałcał wszystko, co mogło pobudzić imaginację dziecka, a jednak owa troska wychowawcza spłatała mu figla, gdyż „literatura wyobraźni” zaczęła się wciskać do kraju dzieciństwa tą samą drogą, którą wpuścił niewinną pozornie powiastkę „Powrót taty”. Oczywiście twórca literatury dziecięcej nie zdawał sobie z tego sprawy, podobnie jak nie mógł przewidzieć, że mały czytelnicy wykaskają z natłoku jego dydaktycznych bajeczek to małe błyszczące ziarenko, okrucieństwo poetyckiego talentu i obdarzą je niesłabnącą w ciągu wieków sympatią.

Jachowicz wybrał „Powrót taty” jako lekturę dla dzieci prawdopodobnie z racji ducha religijnego, przenikającego utwór i prostej, niewyszukanej formy. Być może także, dokonując tej samej powierzchownej klasyfikacji, która sprawiła, że Hoffmanowa w swoich „Rozrywkach dla dzieci” bezkrytycznie przedrukowała rozzdzierającą sielankę Karpińskiego „Dzieci u matki”, oraz inne zupełnie nieodpowiednie utwory i anegdoty dlatego tylko, że była w nich mowa o dzieciach.

A utworów tych pojawiało się coraz więcej, bowiem motyw dziecka był uprzywilejowany w literaturze romantycznej. Nie był to teraz żywy przedmiot uczuć ojcowskich, ujętych w klasyczne „treny”, ani sztywna półstotka z panegiryków dworskich, ani dekoracyjny amerek z „Nadobnej Paskwallyny” — lecz uosobienie czystości, prostoty, nieskażonych „prawd żywych”, tych samych, których poszukiwano wśród ludu. Niegdyś plastunki opowiadały dzieciom ludowe gadki, intuicyjnie wyczuwając wspólnotę między tymi prymitywnymi wytworami a pojęciami

1) Des Granges w swojej „Histoire de la littérature française” pisze co prawda o baśniach Perraulta: — il ne faut voir dans ces aimables fictions composées en vue de la moralité que des écrits pédagogiques et destinés à un enfant”, jednak nowsze badania podają to w wątpliwość, gdyż wierszowane „moralités” w zakończeniu każdej baśni mają charakter żartobliwy, nieraz drastyczny i skierowane są najwyraźniej pod adresem dorosłych; przykładem moral baśni o Kopciuszku:

C'est sans doute un grand avantage
D'avoir de l'esprit du courage,
De la naissance de bon sens
Et d'autres semblables talents
Qu'on reçoit du ciel en partage,
Mais vous aurez beau les avoir
Pour votre avancement ce seront choses vaines,
Si vous n'avez — pour les faire valoir
Ou des parrains ou des marraines.

2) Dziełko M-me Leprince de Beaumont we Francji, Maril Edgeworth w Anglii, Basedowa i Weissgo w Niemczech, Hoffmanowej u nas.

dziecka, teraz powstają teorie naukowe³⁾, które uzasadniają analogie między umysłem dziecka i człowieka pierwotnego. Niewinność dziecięca jako motyw literacki służący do uwypuklenia antagonizmu rozumu i serca, dualizmu dobra i zła, był nawet bardziej pojętny niż obraz ludowej prostoty — pozbawiony ostrza programowej tendencji, bardziej przemawiający do uczucia. Motyw prześladowania zbójcy przez dziecko, mający swe źródło w baśniach ludowych, został już utrwalony w poemacie Moora pt. „Raj i Peri“ przedtem nim Mickiewicz użył go w „Powrocie taty“.

3

„Powrót taty“ jest na tle innych ballad Mickiewicza — jak słusznie pisze Wacław Kubacki — utworem mniej balladowym, ma charakter bardziej realistyczny w sensie prawdopodobieństwa psychologicznego, w uzasadnieniu cudowności. Czynniki nadprzyrodzony wcielił się tutaj — zamiast w niesamowite postacie duchów i zjaw — w element kultu religijnego, w modlitwę dziecka. Nastroj — w przeciwieństwie do księżycowej i zimnej atmosfery innych ballad, powodującej raczej napięcie nerwów niż wzruszenie — odznacza się serdecznością i prostotą. Zamiast nierealnych postaci, niepowiązanych określonymi węzłami ze światem i ze sobą — tutaj główne role grają ojciec, matka, dzieci, oraz zespalaające ich ściśle uczucia rodzinne: miłości, niepokoju, radości. „Powrót taty“ jest balladą, w której najsilniej przejawia się związek z twórczością ludową — z baśnią. Jak w baśni — żywa, niemal sensacyjna fabuła trzyma czytelnika w napięciu. Jak w baśni — o rozwoju akcji decyduje szczęśliwy przypadek, który kazał dzieciom wybiec na pagórek, a zbójcom oglądać ten żywy obraz z ukrycia, tym zbójcom o „wzroku dzikim i suknii plugawej“, przypominającym baśniowych rozbójników. I tutaj wreszcie, jak w baśni, rozgrywa się walka dobrych i złych mocy, i tutaj dobro zwycięża w sposób naturalny, w myśl odwiecznego porządku, który rządzi światem i zwycięstwo to nie potrzebuje konkluzji, maksymy, morału. Sens moralny baśni wypływa bowiem nie — jak w bajce — z założeń dydaktycznych, nie z przesłanek racjonalistycznych, lecz z samego biegu wypadków i z zabarwienia emocjonalnego wobec osób działających, które czytelnik podziwia lub potępia. Udziałem świata baśni jest optymistyczna wiara zarówno w pozytywne wartości drzemające w duszy ludzkiej, jak w cudowny zbieg okoliczności i nieprawdopodobny — happy end. Tych samych wzruszeń dostarcza dziecku lektura „Powrotu taty“. Utwór ten działa jak baśń, kształcąc nie przez narzucony z góry system wartości, lecz poprzez przeżycie.

Ballada „Powrót taty“ była pierwszą literacką baśnią, która przeniknęła do społeczności dziecięcej, pierwszą, która mogła zaspokoić potrzeby jej wyobraźni; za nią poszły inne, a po latach trzydziestu dzieci mogły kąpać się dowolnie w zdroju fantastyki wyższego i niższego gatunku, w powodzi baśni, które rozlewały się na łamach pism i książek dla dzieci czasem pod kontrolą pedagogiczną⁴⁾, częściej na skutek nadmiernej płodności romantycznych poetów „z bożej łaski“. Nie jest to przypadkowy zbieg okoliczności, że właśnie „Powrót taty“, a nie dydaktyczne bajki Mickiewicza stały się własnością dzieci (jeszcze dwadzieścia lat wstecz byłyby przedrukowane na ich użytek, mimo iż dominuje w nich ton żartobliwej satyry). Takie tendencje płynęły z duchem czasu i zbyt pochopny byłby wniosek, że wydanie „Powrotu taty“ w „Pamiętce dla dobrych dzieci“ miało znaczenie przełomowe. Niemniej fakt, że właśnie Jachowicz wskazał drogę mickiewiczowskiej balladzie do społeczności dziecięcej — ma jakby symboliczną wymowę. Zaczęły się tendencje wierszopisa dla dzieci spotkały się na wspólnej platformie z natchnieniem poetyckim, wytwory praktyczno-moralizatorskie z dziełem fantazji i jest to moment, jak gdyby graniczny. W sposób zrazu nieuchwytny, lecz dziś, z perspektywy lat i osiągniętych pozycji — wyraźnie widoczny, zaczęła dokonywać się w literaturze dla dzieci ewolucja, oznaczająca bezpowrotny zmierzch tendencji reprezentowanych przez Jachowicza, odwrót od bajki dydaktycznej i od łatwiutkiej tandety usankcjonowanej moralną nauczka; zaś ambitne i twórcze dążenia na przyszłość szły jak gdyby dalej po linii wytkniętej mickiewiczowską balladą: walczyły o prawo do baśni w literaturze dziecięcej i o poziom artystyczny — jako o czynniki najpełniej kształtujące psychikę dziecka.

Krystyna Kulickowska

ZOFIA ŻYTYŃSKA

Zwycięzca^{*)}

Odelga przekreślił głowę lekko w bok i spojrzał na leżącego obok Jaśka Bielę. Aż włosy zjeżyły mu się na głowie od tego spojrzenia, jak gdyby dopiero teraz, nagle, wszystko zrozumiał i wszystko do głębi zobaczył.

— O Jezu, Jasiek! — Ale skurcz chwycił go za krtani i słowa ugrzęzły w gardle wpół rozpaczliwego szreptu. Franek poczuł, jak krople potu pokrywają mu ciało i spływają z czoła lepkimi strugami. Ciężar winy przytłaczał jeszcze bardziej, jeszcze niżej do rozpalonej ziemi. Zdało mu się, że chyba nie wytrzyma dłużej, że lada chwila ciało poderwie się samo i nie on, ale usta, jakby już nie do niego należące, krzykną prosto w ciężkie od stłumionego jęku powietrze: to ja! to ja!

W ostatecznym wysiłku podniósł oczy w stronę, gdzie pola i łąki podnosiły się fałszyście ku górą i pełżyły ukosem długimi zagonami aż po skraj lasu. W jego sinej przędzy, zamykającej zewsząd widnokrąg, było jakby wsparcie. Szła od niego jakby siła i ukojenie, jakby moc większa od męki ciała i gorszej stokroć męki myśli.

Ha cóż! Oczami do lasu nie doleciś, a oni, choć może i wiedzą, nie wyjdą i nie rzucą się słabo uzbrojoną kupą ludzi na niemieckie pancerne auta i na żandarmów zewsząd otaczających chałupy. Bo i po cóż by szli? Żeby wszyscy wyginęli za jednego, zamiast, by jeden zginał za wszystkich? Tylko, że nie o zwykłą śmierć tu chodziło, a o męki, i nie na śmierć trzeba się było sposobzić, a na wytrzymanie najgorszego, co można sobie wyobrazić. I nawet nie własne męki wydawały się Odeldze najstraszniejsze, lecz to, że mu niechybnie przyjdzie przeczekać, jak niejeden kamrat ze wsi, niejeden sąsiad i towarzyszy przed nim i za niego pójdą na tortury, jak ich Niemcy będą szarpać prawie na jego oczach. Najstraszniejsze było to, że tylko on, on jeden może odjąć od nich, zmienić ich los. Ale nie tylko ich dola od niego zależała, i nawet nie jego własne bezpieczeństwo wymagało ich ofiary, bo go i tak jego koleje niechybnie nie minie. Trza mu milczeć za tamtych z lasu, za własny honor, za sprawę.

Ha cóż! Gdyby tylko na nim spoczywał ciężar tego milczenia! Ale przecie sam sprawił, że może popaść teraz w niemieckie łapy nie jak tamci, wedle listy, na której był ponad wszelką wątpliwość, ale jako ten, który

*) Opowiadanie wyróżnione na konkursie Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie.

brał udział w zamachu, jako ten, który wie o innych, wie od kogo i przez kogo przyszedł nakaz. Nie było się co łudzić, wtedy mu zgodziły inne męki, skuteczniejsze dla złamania oporu, wymyślniejsze, okrutniejsze niż innym. Od jednego Jaśkowego słowa zależy, by Niemcy przestali męczyć niewiedzących i dostali w ręce jego, sprawcę, jego — skazanka.

Odelga wbił kuliaki w wyschnięte usta. Boki, chyłkiem spojrzał znów na Bielę. Od tamtego, leżącego o dwa, trzy kroki za ledwie ciała szedł na niego jakby podrywający prąd. Nie było widać twarzy Bieli. Trzymał ją ukrytą na skrzyżowanych rękach i tylko lekki, prawie niewyczuwalny podmuch wiatru rozdmuchiwał bujne pasma jasnych jak len włosów. Niesposób było wymiarować, co tamten myśli, co zamierza. Jak żywy stanął przed oczami Odelgi ten wieczór, kiedy szli po społu z Jaśkiem drogą na Rudniki na jego kawalerską pohulanke. Ten przeklęty wieczór jego, Frankowej słabości. Teraz już łatwo było osądzić, że to myśl o Weronce do cna go wtedy pozbawiła rozumu, że go do tej głupoty popchnął ból, którego się wyzbyć nie umiał, który nim do reszty owiadnął, gdy idąc przy Bieli drogą przez wieś, szedł wraz drogą do jej, Weronki, ostatecznego utracenia. Boć to przecież wtedy, za dzień, Weronka miała stać się Jaśkową żoną, miała się hucznie sprowadzić do Jaśkowej chałupy, lec pod Jaśkową pieczę.

Ano cóż! Weronka była dziewczyna jak się patrzy, gospodarska córka, jedynaczka. Dzieci się morgów i chałupa jak pałac, za wodą, a i te grunta, co jej po ciotce z Brzezia spadały. Że się czasowo gniołła ze starymi w jednej izbie u Paczuchy, to przecie tylko dlatego, że Niemcy ich dom na kwatery dla posterunku zabrali. Ale po wojnie, ho, ho, będzie z niej pierwsza we wsi gospodyni. A on co? Morg takiej ziemi, że i na kamieniu prędzej obrodzi, chuda szkapa w stajni i tyle. A że mu się właśnie tej Weronki jak niczego na świecie zachciewało, to już była tylko jego własna, chłopska głupota. I tylko jego głupota była, że uwierzył, jakoby się jej lepiej od innych widział, po tych dwu czy trzech nocy w wiosennych, kiedy z nim na sianie wylegiwała, cała aż spocona od miłosnych uścisków. Widział się on jej może i lepiej, oberwaniec i włóczęga, od statecznego gospodarskiego syna, widział się lepiej,

jeno nie do ślubu. Nie była ona głupia, ta Weronka. Porządne, murowane obejście u tego Jaśka Bieli, warsztat jak mała fabryka, a i ubranie miastowe, brązowe w kratkę i kaszkiet nowiuteńki, na bakier czupryny przyodziany. Będzie se pani.

To wtedy zazdrość zakotłowała w sercu, zadławiła rozsądek i chociaż z tym Jaśkiem byli sąsiedzi, choć od małego razem ganiłi, w mieście bywali po społu a i teraz, z nawyku chyba, jeszcze się trochę trzymali kupy, zachciało się Frankowi czymś tamtemu zaimponować, coś ważkiego przeciwstawić jego powodzeniu, jego ośmiotomowej gospodarce, jego ubraniu w niebieską kratkę. Kto go wi, może on go i na kpiny tylko na to wesele zaprosił, by się sobie samemu jeszcze większym wydać przy społu a i teraz, Franka, małości. A ot i pokazać mu, cholerze, że nie taka ta małość, że nie taki on, jakby się zdało, nieważny i byle kto.

Byłby jeszcze strzymał, zbyt świadom, do czego mogłyby doprowadzić takie przechwałki, byłby pary z gęby nie puścił, ale tego wieczora wszystko obróciło się przeciw niemu. Za wodą, krzepko osadzone w ziemi, świeciło w księżycu obejście Weronki, teraz zajęte przez żandarmów. Mimo woli obaj przystanęli.

— Ładne wiano, co? — odezwał się Biela, ogarniając zagrodę rozmiłowanymi oczami. Franka aż ścisnęła za serce. Już mieli ruszyć dalej, kiedy zabłysło światło u Króla i przez nieosłoniętą niczym szybę zobaczyli wysoką postać w granatowym, policyjnym mundurze, z wypiętym do przodu, wypasionym na niemieckim maśle i polskiej krzywdzie brzuchem.

Złość zalała krwią mózg Odelgi. Złość na kratkowane ubranie Jaśka, na jego butną minę, na tę cholere Weronkę z okragłym jak u młodej klaczy tyłkiem i tę spacerującą w oświetlonym oknie polską świnię na niemieckich usługach. Chodzi se i nawet okna nie przesłonił, zaraza, a od wsiowych ludzi za najmniejszą szparę, za promyk światła przez dziurę w papierze kary pobiera. A już do biedniejszych, najbiedniejszych chłopów to ma szczególne upodobanie. Z gęby im pieniądze wydiera, kryminałem straszy, rewolwerem nad głowami wygraża. Kotłowała się w Odeldze złość, cisnęła do gardła kwaśnym fermentem obelżywych słów. Jeszcze byłby się wstrzymał od gadania, byłby wściekłość w sobie zdusił, lecz nagle wspomnił, jak to Jasiek na fabryce z inżynierem rajcował, wódkę z nim i z Królem nieraz w sklepie spółdzielczym pijał, a potem z fabryki obstalunki co lepsze na robotę dostawał z krzywdą dla innych chałupników. A z policjantem w handelek się zabawiał, jako że droga była najpewniejsza. Wplątały się te wspominki w myśli jak ostatnia kropka gorczy i przeważały szalę wytrzymałości.

— Chodzi se, tuczony pies — szepnął zaciekle — niech se chodzi, niedługo już jego chodzenia!

— Ty co, Franek! — przeraził się Biela i aż przystanął w wysrebrzonym mroku drogi.

— Ano nic, tak se ino mówię, co myślę...

— Do resztyś zdurniał, czy co? — oburzył się tamten. — Niech jemu tylko jeden włos z głowy spadnie, to Niemcy całą wieś wytłuką. Zresztą, co on winien? Na służbie jest, to i co ma robić? On jeden, a tych zielonych ilu, no?

— Głupstw byś nie gadał! — odwarknął Odelga. — Kanalia jest i będzie wisił jak wszystkie kanale.

— Ludzie! Czyście wy rozum potracili? — zająknął się Biela. — Toż dopiero co w Maciejówce pięćdziesięciu chłopów poszło za jednego niemieckiego żandarma, a wy takie samo nieszczęście na wieś chcecie sprowadzić!

— A może nie, co? Lepiej cicho siedzieć, na wszystkie świństwa do woli im pozwalając, by ludzie nawet zapomnieli, że są co więcej niż bydłem! Wam ino ważne, by się najęść i wypaść spokojnie, a resztę szlag może trafić, nie wasza rzecz, prawda?

— Toż nie mówię — zachnął się Biela — ale przecie nie czas i nie pora po temu. Jak się chce Niemca bić, trza mieć siłę, jak nie jemu równą, to choć taką, by coś ze skutkiem zrobić było można, a nie tylko nieszczęście na ludzi sprowadzać, a samym do lasu uciekać. Tyś widzę taki sam mądry, pewnieś się z nimi zwąchał na własną i cudzą ztratę. Oj, będziecie wy jeszcze przede wsią za krzywdy odpowiadać, będziecie!

— Stul pysk! — rzucił się Odelga. — Nie wiadomo, kto większą krzywdę narodowi robi, taki, co Szwabów różnie z narażeniem własnego życia, choć i siły dostatecznej i oparcia nie ma, czy taki, co się na handlu z nimi bogaci i wódkę chleje...

Biela skoczył jak oparzony.

— Kto z Niemcami pił? Może ja?!

— A pewno, że ty — odpowiedział Franek z flegmą i zaraz się nieco odsunął, bo tamten aż przystanął na drodze i skurczył się w sobie jak do skoku.

— Król nie jest żaden Niemiec! — wrzasnął, aż się echo poniosło po stromych zboczach przysiółka.

— A pewno, ino jeszcze gorsza kanalia. Niemiec, to jeszcze wyrozumieć można. Ale żeby taka polska świnią swojej własnej, ojcowskiej wsi nie przepuściła, żeby własnych braci rodzonych na śmierć skazywała! A przez kogo zabrał Hełę ze sklepu? A kto donosił,

MALARSTWO FRANCUSKIE



HONORÉ DAUMIER (1808 — 1879)

Powstanie

³⁾ Np. w ujęciu uczniów Herberta, Zillera i Reina

⁴⁾ Świadectwem zmiany poglądów na wychowawczą rolę baśni jest choćby głos Seweryny z Zochińskich Pruszkowej o opowieściach ludu: „Nie ma prawdy zazwyczaj w wypadkach, jakie powieść opowiada. Brak im nawet prawdopodobieństwa, jest przecie głębokie uczucie moralnej prawdy w duchu opowiadanych baśni; zawsze tu cnota nagrodzona, występki ukarane, zawsze całe światło skierowane na cnoty wytrwałości i poświęcenia“. (Rozrywki dla młodocianego wieku, rok 1856).

że stary Malinowski pomaga sierotom po zamordowanym Bugaju?

— A skąd wiesz, że on? — z głupia frant zapytał Biela.

— Skąd? My już wszystko wimy — za-perzył się Odelga i dopiero wtedy to „my“ zabrzmiało w ciszy nocnej jak groźne przypomnienie, jak nawołujący do opamiętania się głos. Ale już było za późno.

— Wy się dopiero dowicie — rzucił ponuro Biela. — Dowicie się, jak nam Niemcy wielę wyrzną, a jeszcze może i chałupy z dymem puszczą.

— Ano dowimy się — mruknął Franek, zwieszając głowę. — A i wy się jeszcze dowicie.

I wtedy odczuł znów, choć już inaczej, szczególne brzmienie tego „my“ i „wy“ we własnych ustach i zmilknął, przytłoczony do reszty.

Ano cóż, tak i było. Byli we wsi oni, choć nieliczni, czterech wszystkiego, boć większość przecie siedziała w lesie, w oddziałach, i tamci, którzy ino żęby brzuch napasć, napaskować, a w sobotę po robocie gębę bimbrem zalać tak, by przez całą niedzielę nie zdążył wyparować. Ano było. Czemu? Małoż to się on, Franek, nad tym nagłowił? Małoż to się w lesie nasłuchiwał, że ludzi trza do rozumu przyprowadzać, że źle jest z polską wsią, bo się nijak kupy nie trzyma, bo sami miejscowi ludzie Niemcom robotę ułatwiają, do-noszą, rozpowiadają co, gdzie i jak. Że ci, co we wsiach siedzą, równie trudne mają zadania, a może i trudniejsze niż krwawa partyzancka robota, bo społeczne, bo ludzi na dobrą drogę nawracające. Że musi wieść razem stać, bo ino razem i swojej i polskiej sprawy obroni. A tymczasem daleko, bardzo daleko było do jakiejś chłopskiej, czy polskiej wspólnoty. Chłopi co bogatsi, co więksi, zamiast ze swoimi, choć biedniejszymi trzymać, z Niemcami przecie nim idą i gnębić pomagają, byle swego obronić. A i w lesie nie wszystko było w porządku, było się czemu dziwować i nad czym rozpaczać. Toż w Chęcinach, trzeciej stąd wsi, nie Niemcy ubili kowala Mrocza, ludowca i dobrego Polaka, a swoi, i to nie wsiowi, a leśni, żołnierze. A w myśłowskim lesie nie kto inny, a oni Niemców na oddział naprowadzili, jakby dwie były Polski i dwie walki — dwie różne i nienawistne sobie sprawy. Ha cóż! Nie na jego to już, Franka, rozum i siły. Jemu przykazano robić jego własną, małą a ważną robotę, ludzi we wsi przekonywać, napominać, pokrzepiać upadłych na duchu, zjednywać nowych, a nie, jak on, językiem mleć w złości o sprawach, w których wyraźnie i pod karą milczenia było przykazane. Gnębił się potem tyle dni lękiem i rozpaczą, że Biela zdradzi, że się ze strachu wygada, że ostrzeże posterunek, albo i samego Króla. Ano nic. Nie wygadał. Nie zdradził. Nawet nigdy już o tym więcej słowa nie wspominał. Króla zabili, a teraz wyszło na Jaśkowe. Teraz leżeli po społu na wsiowym placu, stłoczeni jak bydło na rzeź, wgniecen i w rudą ziemię błyskiem niemieckich bagnetów. Jak psy koło stada krążyli żandarmi. Leżał na brzuchach tłum chłopów, zbity, skopany, a opodał, oddzielnie, tłum od zmysłów odchodzących bab. I tylko jak bzykanie komarów unosił się nad nimi stłumiony szmer pojękiwań. Chłopi milczeli. Nie sposób było oderwać głowy od ziemi, nie sposób spojrzeć na matki i żony, ni szepnąć słówko sąsiadowi. Zaraz leci na kark podkuty niemiecki but, spada na plecy kolba karabinu. Leży wieś pod niebieskim jak bławat niebem, rozplaszczona, wdeptana w placowy pył i końskie łajno. Jeny rozbiegane dzieciśka, co mniejsze, bo starsze wszystkie pozganiiali, wybałuszają wystraszone ślipia z rozwartych drzwi pustych chałup i z niektórych izb roznosi się płacz i wrzask niemowląt. Jak długo już leżą? Spędzili ich przed świtaniem z łózek, a teraz słońce podniosło się wysoko, pałac bolące plecy, jakby ludziom nie dość było męki przez ludzi wymyślonej, jakby jeszcze i natura, twarda i bezlitosna, swoje chciała dodać do tej karni. Język skołowacił w gębę od pragnienia, ból darł mięśnie nóg. Ale Odelga nie czuł prawie fizycznego cierpienia.

Od niego zależał los wsi. Świadomość tego gorsza była od najgorszego cierpienia. Szczerbiński przedwczoraj zaledwie listonosza, co to przed Niemcami musiał uciekać, w las poprowadził i nie wrócił. Kapera, jakby pismo nosem zwąchał, pojechał do miasta, a Świstak gdzieś się przytulił, albo nawet zdołał uciec. Sławny był przecie z tego, że i z piekła umie się wydostać. Jedno pewne, że go Niemcy w rękach nie mieli, a i między ludźmi go nie było. Na placu został tylko on jeden, Odelga. I nikt prócz niego nie mógł wydać Niemcom wszystkich sprawców zamachu na Króla, nikt nie mógł ocalić wsi.

Ocalić? Franek aż zębami zgrzytnął na tę myśl. Zanaćto dobrze wiedział, co oznaczała. Nie wystarczyłaby jego dobrowolna śmierć, szarpaliby go żywem na szuki, by wydał tamtych wszystkich co do jednego, by wskazał drogę do lasu. A ze wsi i tak kupa ludzi poszłaby na karne roboty, poszłyby krowy i świny na kontrybucję. Czyje krowy i świny? Ano przecie nie wójtowe, nie sołtysa i nie bogatszych gospodarzy, a samej biedoty wsiowej, co ani wójta ani policjanta nie ma czym przekupić.

— Ino że tak będą męczyć na śmierć niewinnych, niewiedzących...

Ano cóż, temu ani on, ani nikt nie zaradzi, a winnych i niewinnych nie ma. Jest wieś i wieś musi, choć po niewoli, trzymać się kupy...

Za spłaszczonymi plecami Odelga czuł zięjący gorącem i przerażeniem oddech wsi. Ten dech wspólnoty w nieszczęściu umacniał go na siłach. Jeżeli poddadzą się, Niemcy ich złamią. Ofiary pójda na marne i tylko wstyd przed tamtymi, którzy latami już po lasach się marnują, życia ludzkiego nie znają, tylko poniewierkę i walkę nieustanną, do końca. Toż przecie tam, po lasach, nawet baby siedzą z partyzantami i swoje robią, choć to i trudno pomyśleć. Sam taką jedną widział. Młoda dziewczyna, ledwie jej może dwadzieścia lat było, nie więcej. A nic, tylko się uśmiechała, wyprowadzając go na znane drogi i rękę uściśnęła jak jaki żołnierz, jak równy, choć od razu było widać, że panna lepszego pochodzenia, miastowa, inteligentka. I on by nie miał wytrzymać, on, Odelga? Wytrzyma!

Nikt nie wie, kto wykonał zamach, tylko on jeden i...

Znów aż w piersiach zabołało jak pehnięcie nożem. — Jasiek! Rany Boskie! Toć on nie strzyma. Bo i skądby miał wziąć siłę. Jak go zaczną kłuć bagnetami pod żebra, jak wy-

łamią ręce i nogi, wyśpiewa słowo w słowo, co mu on, Franek, w ten przeklęty wieczór nabredził, a i jeszcze więcej powie, niż sam wie na pewno. A wtedy... Ucieszą się Niemcy, nie ma co — kotłowały w głowie zrozpaczone myśli. — Każdy we wsi wie, kto z kim trzymał, a jak jeden wygada, zaczną wszyscy. A wtedy po nim, po Franku, choćby milczał jak grób, jak po nitce do kłębka dojdą do innych. Co z tego, że Świstaka, Szczerbińskiego i Kapery do rak nie dostaną. Toż u jednego w chałupie baba z trojgiem małych dzieci, u drugiego siostra kaleka i dwoje starych, a u Kapery młoda żona z dzieckiem przy piersi.

— Jasiek... — potoczył się z warg Odelgi cichy, chrapliwy szept. — Jasiek!

Ale Biela nie słyszał, może nie chciał usłyszeć. Leżał równo z twarzą przywartą do prochu, jakby skamieniały. Aż nagle, w tej samej chwili, zanim Franek zdołał powtórzyć rozpaczliwe wołanie, tamten zatrzęsł się cały, a wraz z nim zadrgała, skurczyła się jak w konwulsjach wielka, rozpełniona jak robaki po placu, masa ludzka. To z szopy, gdzie Niemcy zabrali czterech pierwszych chłopów, runęło nieludzkie wycie męczonych. Z boku, od strony, gdzie leżały kobiety, zawtórował mu histeryczny płacz i poniósł się po tłumie jak babskich głosów: — O Jezu, Jezu Maryjo!

ROMAN BRATNY

List do siebie na Zachód

W malowane na afiszach kolorowe rękawy
trzeba wsunąć prawdziwe ramiona
— tylko wpierv rozpiąć afiszowe marynarki,
bo w nich ma się zmieścić najtęższa epoka.

Teraz obróćmy twarzę na plakatach
po raz ostatni wstecz...
— a teraz niech odejdzie ten, który zapłakał
i niech zamieszka w swej rozstajnej łzie.

Plakaty! — by ręce ku nim nadleciały jak ku
służotódkowym banknotom trzepocącym na wietrze
— bo to więcej, to jutro już
miliardowe nasze budżety!

Plakaty! Pracal — tu i powietrze jest pracowite
— nie to, że ręce obmywa zanurzone w błękit,
nie to, że śmiechem pluszcze jak błękitna Wisła
— lecz to, że się nad pompką samochodu męczy

a potem jest w oponie i dudni po szosach.
W Warszawie napompujesz — powietrze jest święte,
bo w każdym jego łyku jest stolicy obraz
bowiem przedtem z uśmiechem stało to powietrze

na miejscu gdzie stał Zamek i stała Katedra.
Z tym powietrzem w oponach dudni się po drogach!
Nam wcielić się w afisze — „Zachodu się nie da!“
W rękawy z tych plakatów wdziąć żywe ramiona!!

Dobrze, że brak katedry
— szkoda byłoby żywe mięśnie wcielić
w zadymione świętych portrety
— a but z plakatów, papierowy, lekki!

I tylko stopę wsuniesz porwie cię, poniesie,
a na ołtarzach zostanie w bezruchu:
bądź noga Twoja jako w niebie tako i na ziemi!
Samochody! Plakaty! Ludzie! — ruszacie!

Katedra padła? Można ją odbudować
— i modlitwy muszą być kryle blachą
aby się nie zajęły od ognia,
którym hufy ryczą: na Zachód!

Kiedy spojrzymy w ruiny ojczyste, inaczej trzeba płakać
— w padole dawnej łzy smutek sieje i zbiera,
ale po wzgórzu jednej łzy radości
— nim ona ziemi sięgnie — nowe biegną miasta.

Tu powietrze, ludzie, życie — pracowite.
Powietrze? Chcesz list wystać — wystaw jednym rogiem w słońce
— zaraz ruiny złapiesz, jak na kliszę
— już znaczek nowy jest. A adres? Ja — w nowej Polsce.

JAN HUSZCZA

LISTY

Wiatr mokry słońca mgłą zaślinił,
podpełzał nagle, zrywał gonły —
aż odwilż zbudził na nizinie,
spychając w ciemność horyzonły.

Otwieram, czujny, okno późne:
zapachnie nagle ziemia miękką,
by zimie lekkiej czernią błuźnić
i pod lodami wodą siękać.

Stąd potem slysze, jak igliwie
gdzieś dalej pryska spod nóg czyichś:
tam dymu powiew uszczęśliwia,
być może, czulej niżli przyjaźń.

Tych nie do mego domu kroków
odszeptu wessie przestrzeń głucha,

bo dla mnie tylko znów niepokój,
ten deszcz i zapach, okna kruchta.

Odwilży słucham tak do świtu,
gdy, rozmazując, stuka wszędzie.
Zanim się skończy pracowiła —
znów o noc jedną lżej mi będzie.

M

Pachną jak dzbany, w których wino,
owych wieczorów śpiewane wiersze,
pojmane w wierszach bzy i kmiezy,
woń mięty ostra, imię pierwsze.

Pachną jak dzbany w sułym cieniu:
zmierzch pulsujący, twoje ramię...
Jeśli gdzie żyjesz, też odmieniasz
przez łzy to wszystko, co nas łamie.

Wycie męczonych to wznosiło się, to nacięło, aż wreszcie umilkło całkiem, rwąc się w ostatnim, pojedynczym krzyku.

— Pod Twoją obronę, Matko najświętsza —
niósł się gdzieś znad ramienia Odelgi rozdygotany szept starego głosu.

— Kto się w opiekę... — zajączkały tu i ówdzie co odważniejsze baby niepomne na nakaz milczenia. Nagle kobiece krzyk rozsądził powietrze i prysnął strasznym lamentem nad wgniecionymi w piasek głowami.

To żona Bartka Kuleszy, nie bacząc na kolby i lufy karabinów wyrwała się z tłumy wprost na wyrzucone z szopy, jeszcze drgające ciało męża. Ostro, krótko świsnęła kula i Kuleszka zwałała się jak podcięta na ziemię, obok tamtych czterech ciał.

Sołtys, żółty jak trup, z rozdartą na piersiach koszulą, z przetrąconą nogą, otoczony zewsząd żandarmami, zaczął głosem jak z tamtego świata czytać następne nazwiska.

— Wincenty Ciechanek...

W śmiertelnej ciszy podniósł się z tłumy stary, wąsaty chłop.

— Tato! — poleciał za nim stłumiony głos od ziemi. — Tato, co robicie, stójcie!

Czyjaś ręka pociągnęła go za poję ubrania. Stary nachylił się gniewnie.

— Cicho bądź! Takem rozsądził i tak ma być. Moja wola. Zostańcie z Bogiem!

I jał się przepychać ku przodowi. Ale już Niemiec przyskoczył do sołtysa i wyrwał mu listę z trzęsących się rąk. Stary Ciechanek trącony pięścią w pierś zatoczył się i upadł na leżących w pierwszych szeregach.

— Ten ma 27 lat? Kpiny, czy co do cholerzy!

Sołtys, jeszcze o cień bledszy, odczytał ponownie:

— Wincenty Ciechanek, syn. Lat 27.

Ani na tyle nie wyglądał. Chuderlawy, mały, chwiał się bezbronnym na kabłąkowatych nogach, a po umazanej prochem twarzy toczyły się brudne łzy.

Odelga powiódł wokół oczami. Niemców było chyba tylu, co ludzi na placu, a za chałupami, dokoła wsi, stał drugi kordon esesowców. Od krzyku w szopie wystąpił znów na ciele i jał spływać strugami zimny, śmiertelny pot. Stary Ciechanek uniósł się na łokciach i nadsłuchiwał, jakby z nieludzkiego jęku męczonych chciał wyłowić głos, którego brzmienia nie mógł przetrzymać — głos syna. Twarz miał jak wyrzyta z kamienia, tylko między brwiami i na skroniach żyły nabrzmiały mu fioletowo, prawie czerwono. Aż nagle uniósł się wyżej, wyżej jeszcze, jakby go ciągnął ku górze ten najcieńszy, prawie dziecienny ton, ostrą nutą przecinający wszystkie dochodzące z szopy odgłosy — i runął, zarywając się w ziemię rozwartymi, niemymi ustami.

Odelga już nie myślał. Wiedział — on taki nie będzie. Palce zacisnęły się same w kulaki i po ciele zaczęły latać drgawki. W oczach robiło się to czerwono, to czarno. Serce rozsadało piersi kanonadą obłąkanych uderzeń: teraz, teraz!

— Jan Biela.

Jeszcze zobaczył podnoszącego się Jaśka i zerwał się od razu na nogi, nim jeszcze sołtys, trzęsący się pod mokrą do ostatniej nitki koszulą, wydobyl spoza szczękających zębów jego nazwisko. I tym razem los postawił ich obok siebie, w tej ostatecznej godzinie skazania. Franek popatrzył w oczy Bieli i zobaczył w nich tak bezgraniczny strach, tak nieludzkie umęczenie, że nagle, jakby od tego widoku, drgawki opuściły ciało i stało się wokół spokojnie, w myślach chłodno, rozważnie i trzeźwo. Wszystko już było wiadomo.

Zanim głos sołtysa wyrwał ze stęzalego tłumy dwu dalszych skazańców, w Odeldze uciły na moment myśli. Już nie planował. Jakaś dziwna, chłodna próżnia zapanowała w nim, jakby ciało było wewnątrz puste, do cna wydrążone z czucia. Tylko oczy zawisły na chwilę na drewnianym kołku parkanu, wokół którego owinał się powój i Franek dojrzał nagle wielki, liliowy kwiat, jakby nie własnym spojrzeniem, poprzez powiększającą jakąś soczewkę. Zobaczył każdą jaśniejącą i ciemniejszą żyłkę na aksamitnych płatkach, każdy żółty pyłek i poruszające się przedko, zapalczywie nóżki skrytego we wnętrzu kielicha owada. Zieleń trawy wokół zdała mu się tak dziwna, tak pełna, jakby nigdy dotąd nie wiedział, że trawa wokół niego jest zielona. Jakby nie wiedział dotąd, że są na świecie kwiaty. Gwałtownie, nieprzytomnie zadziwił się pięknem. Trącony, poleciał ku szopie jak nie na swoich nogach i nagle, zamiast tamtego widoku, ujrzał przed oczami pokrwawioną drabinę ze zwisającymi powrozami. Skurczył się cały w sobie od tego obrazu, zebrał, i zanim zdążyły go pochwycić ręce żandarma, przysiadł, i jak zamachem kosy poderwał tamtemu nogi jednym rzutem ramienia. Szybciej niż prysnął w górę ryk obezwładnionego, nim inni przyskoczyli mu na pomoc, dłoń namacała upatrzoną broń i oderwała od tamtego, tłoczącego z góry ciała. Palce nacisnęły na oślep, wyzwalając z automatu serię wystrzałów. Oczy odnalazły w zamęcie jasną głowę Bieli i wzięły ją na cel. Jego własną czaszkę kula prze-szyła tylko o moment później, nim jeszcze zdążył pomyśleć z wywołanym, radosnym tryumfem: nikt się nie dowie!

Zofia Zytyńska

MIECZYSLAW PRUSZYŃSKI

Zima francuska 1939/40

Niewielka włoska stacja pograniczna była rozświetlona jakby na pokaz. Faszystowska policja, straż celna, żołnierze, wszystko to było elegancko ubrane, młode, świetnie się prezentujące. Dworzec był przybrany w hasła na transparentach mówiące, że Il Duce ma zawsze rację i że Italia jest ponad wszystkim. Z plakatów patrzyły co najmniej cztery różne postaci Duce. Mżył deszcz listopadowy, ale w świetle licznych lamp wszystko wydawało się tym świeższe i tym nowsze. Po kilkunastu minutach pociąg nasz stanął na stacji, która była idealnym kontrastem tamtej. Była co prawda tak samo mała, tak samo przyparta do gór. Tak samo zapadł tu mrok i padał deszcz. Ale stacja była ciemna, stara, brudna i pusta. Nie było ani jednego światła. Po raz pierwszy od kampanii polskiej byłem w kraju, w którym panował blackout. Paru sennych, leniwych ludzi podeszło z peronu, nikt nie wysiadł, nastała cisza. Siedzieliśmy tak w ciemnym wagonie nasłuchując kroków. Wreszcie przyszedli dwaj starszawi, grubawi, znudzeni celnicy. Pewno byli źli, że ich budzą, albo odrywają od aperitifów. „Contrôle.“ „Passeports“. „Polonais?“

Było nas trzech Polaków.

„Rien que des Polonais. Nic, tylko Polacy“ — zauważył jego towarzysz. Ten był raczej niechętny.

„Eh, c'est tous les jours comme ça“ — mrucnął drugi. — Co dzień to samo.

Wstałem po walizkę.

— Zostańcie tu — powiedział pierwszy — przyjdą was wziąć.

Dlaczego miano mnie wziąć — nie wiedziałem. Przypominało mi to bardziej powitanie zgotowane przestępcy, dostawionemu do granicy państwa, gdzie czeka go kryminal, niż alianta, który walczył i przychodzi by walczyć. Zostaliśmy dalej w mroku. Po chwili weszło trzech żandarmów. Dwóch francuskich i jeden polski. Poszliśmy z nimi do polskiej stacji werunkowej mieszczącej się na dworcu. Dworzec był rzeczywiście obdrapany, stary i brudny. Francja nie siliła się na ów sztuczny polor, jakim pokrywały swą nędzę Włochy faszystowskie. Wszystko tchnęło spokojem na tej pogranicznej stacji państwa będącego w wojnie. Plakat mobilizacyjny był na wpół obdarty; żadnych innych nie było.

Niedaleko dworca była kantyna dla polskich ochotników. Nieco dalej w jakiejś stodole nocleg dla szeregowych. Ponieważ miałem trochę pieniędzy, przeto ulokowałem się w małym hoteliku, drogim zresztą, po czym wyszedłem na ulicę. Deszcz przestał padać, noc była prawie mroźna, księżycowa. Alpy nad nami były piękne i srebrne od śniegu. Na ulicach rozbrzmiewała mowa polska. Codziennie przybywało z Włoch po kilkadziesiąt Polaków — z Węgier jak ja, z Rumunii, Grecji, Jugosławii. Odnalazłem zaraz jakichś znajomych z Warszawy, spotykanych w ogonkach przed konsulatami pięknego Budapesztu.

W kancynie było kiepskie czerwone wino, dużo hałaśliwych rodaków i dwie obsługujące panie — Francuzki. Były wytworne i godne, jedna z nich była starsza. Miały w sobie ów dyskretny francuski wdzięk, jeszcze tracący salonami osiemnastego wieku, w których może błyszczały ich rodzone prababki. Należały do zupełnie innej klasy niż celnicy, żandarmi graniczni, wojskowa komenda dworca — i wielu innych Francuzów.

Nazajutrz rano miałem pociąg wprost do Paryża. Tam kierowano oficerów. Szeregowi jechali koleją przez całą środkową Francję aż do Bretanii, gdzie, jak wiedzieliśmy już, tworzone polskie oddziały wojskowe. Mieli oni sposobność przekonania się, jak wygląda kolejnictwo francuskie, poza wielkimi, międzynarodowymi liniami. Jechali przez cztery dni i dwie noce, przesiadając się trzynastą raz, na odcinku drogi niewiększym niż Warszawa—Gdańsk. A odcinek ten — to było centrum wielkiego, europejskiego kraju.

Mój pociąg do Paryża, nie należąc do żadnej ekstraklasy, był jednak zupełnie przyzwoity. Pusty rano przedział zapełnił się powoli ludźmi. Jakies panie wzdychające „pauvre Pologne“ (biedna Polska); stary ksiądz, który pytał czy Częstochowa nie ucierpiała, po czym uspokoiwszy się, czytał swój brewiarz, wreszcie paru grubych, brudnych Francuzów. Wyglądali na klasycznych, prowincjonalnych rentierów. Prowadzili żywą dyskusję na temat restauracji kolejowej w Lyonie, do którego się właśnie zbliżano, potem — różnych sposobów przyrządzania kaczki; okazało się, że jest ich chyba dwa razy tyle, co departamentów w tym kraju. Potem na temat rodzajów wina, jakie każdy z tych gatunków wymaga. Potem mimochodem wspomniano o rządzie i zaraz o drożyznie. W każdym znanym mi kraju rozmowa o drożyznie kończy się zawsze rozmową o drożyznie.

Obaj jednak byli najzupełniej zgodni co do wojny. Wypowiedziawszy parę uwag o „pauvre Pologne“ wywnętrzili się dostatecznie. Dowiedziałem się, że choć Warszawa sponęła, niewielka to szkoda i nie dziw zresztą; była przecież — byli o tym święcie przekonani —

cała z drzewa. Nie wierzyli mi, gdy przeczytałem; godzili się przyjąć, że kościoły — nie które — były murowane. Kiedy mówiłem, że przecież Warszawa miała przed wojną milion dwieście tysięcy mieszkańców, jakże więc mogła być tylko drewnianym miastem, — uśmiechali się niedowierzająco; powołałem się na statystyki, nawet francuskie. „Oh, les statistiques, vous savez, c'est comme les gouvernements; ça ment toujours“ *).

Wyłuszczyli mi z kolei swój pogląd: „Tę wojnę zrobiła Anglia.

Nas i was wpakowała ona w tę wojnę. Najpierw przez piętnaście lat po tamtej wojnie wierzyli w dobrych Niemców, naśladowali w nich pożyczek, wszystkiego; a potem, gdy już z łaski Lloyd George'ów i Chamberlainów wyrósł „Monsieur Itler“, rzucili nas na niego. Czechosłowacja mądra; ten Hacha — „Asza“ wymawiali — to mędzec... Gdy u was. Najpierw ten front ludowy — a teraz po prostu front...“

Nie mogłem dojść do słowa nie tylko wobec potoków wymowy grubasów, ale i wobec własnego zdziwienia. Czyż jestem we Francji? Przecież ci Francuzi powtarzają jakby słowa z pierwszego niemieckiego plakatu w Polsce. „Anglio, to twoja wina“. Kogoż oni bardziej nienawidzą: Anglii czy Niemiec? A jednak czy to, co mówili o polityce angielskiej w stosunku do Niemiec nazajutrz po Wersalu, przez więcej niż lat piętnaście, nie było prawdą? Kto starał się, by Polska nie dostała Śląska, kto odpychał Polskę od morza? Kto bronił twierdzy junkrów — Prus Wschodnich? Kto sycił Niemcy pożyczkami? Było wiele racji w gniewie tych ludzi.

Pociąg stawał tylko na większych stacjach, ale te większe stacje mówiły wiele. Pamiętałem niedawno widziane podobne dworce kolejowe na Węgrzech, w Jugosławii, we Włoszech. Tam wyglądało, jakby tamte kraje były w wojnie: żołnierze, pociągi wojskowe, działa na lorach. Tu nic podobnego. Powiedziałem to Francuzom. Pokiwali głową. „Nie jesteśmy przygotowani. Czego pan chce. Front ludowy, strajki“.

W Lyonie pociąg stawał na czas dostatecznie długi, aby zjeść obiad. Pół pociągu pospieszyło do różnych klas restauracji kolejowych. Moi rentierzy dawno już patrzyli na zegarki i wznawiali swą dyskusję kulinarną. Upewnili się, że koszty mego śniadania nie obciążą ich kieszeni, Francuzi byli radzi wprowadzić mnie w tajniki kuchni lionskiej. Odbyli walną naradę z „patronem“ i z „szefem“;

*) „O, statystyki, wle pan, one zawsze kłamią; tak jak i rządy“.

kelner był za małą figurą, aby się z nim zadawali. Zestawienia win, przekąsek, mięs i serów dokonali niezwykle starannie, z przejęciem się ważnością chwili. Zjedliśmy po tuzinie ślimaków burgundzkich, duszonych w śmietanie z jakimiś ziołami i grzybkami, które ponoć te ślimaki jedzą za życia, a zatem powinny być z nimi zjedzone. Zapijaliśmy to „avec un petit vin du pays“ („małym winem miejscowym“), które było i dobre i niedrogie. „Proszę nas nie brać za cudzoziemców“ — oburzył się czerwony rentier, gdy mu patron sugerował jakieś droższe wino. „O, nie śmiałbym nigdy tego zrobić“ — zapewniał patron. Potem, jako że była jesień, szły nadziewane kuropatwy z czerwonym Bordeaux, zaprawiane winogronami, wreszcie ser, który dla mnie, znającego zaledwie kilka gatunków sera był zupełną nowością. Francuzi oczywiście opowiedzieli mi całą jego historię. Wyrabiają go gdzieś w dolinie Rodanu; składają go na pół roku w błotnistych kredowych grotach, gdzie podlega specjalnej fermentacji. Ci wiedzieli wszystko. Podczas śniadania przywieziono gazety południowe z wiadomością o zmianie rządu w Paryżu. Ten fakt bez znaczenia nie odwrócił na moment uwagi śniadających, tak samo jak wszelkie nieszczęścia Polski.

* * *

Paryż wieczorem tego dnia, to było powtórzenie, na większą tylko skalę, wrażeń z wjazdu do Frańczy na tamtej małej pogranicznej stacyjce. Znowu mżył deszcz, a ciemności w tym wielkim mieście były jeszcze bardziej przejmujące niż tam na pograniczu. Pamiętałem mój pierwszy przyjazd do Paryża, dwa lata przedtem. Było jasno, prawdziwe orgie światła. Teraz dworzec był obsadzony gęsto policją, spoglądającą nieufnie na przyjezdnych. W studenckim hoteliku obciążały były spłowiełe i staroświeckie, na kominku nie było ognia. Było zimno, okna były szczelnie przesłonięte a wypełnianie specjalnych formularzy meldunkowych zabrało chyba z kwadrans czasu.

Nazajutrz rano wyszedłem na miasto. Paryż był jednak tym samym Paryżem. Nie zmieniły się w niczym wąskie uliczki Dzielnicy Łacińskiej; sztyl myjej dawnej restauracji o zagadkowej nazwie „Pod czwartą republiką“ był na swoim miejscu; straganiarze sprzedający książki na nadsekwanskich bulwarach stali zziębnięci na tle szarej Notre Dame. Przeszedłem mosty i olbrzymi Luwr. Na niewielkim placu ze statua Joanny d'Arc odnalazłem duży, brzydki secesyjny hotel, skąd spływała chorągiew o polskich barwach. Wewnątrz, przed drewnianą balustradą strzeżo-

ną przez żandarmów z polskimi orzełkami na francuskich hełmach, tłoczyło się kilkadziesiąt ludzi, w dziwnych jak moje ubraniach, niedopasowanych, cudacznych nieraz, darach Czerwonych' Krzyży rumuńskich i węgierskich. Ludzie ci o coś pytali czy prosili, płakali lub śmiali się, witali z wylewnością lub żegnali, jak gdyby nie mieli się już więcej w życiu zobaczyć. Co druga z tych twarzy kryła w sobie tragedię; rzadko która wyglądała normalnie.

Znajdowałem się w hotelu „Regina“, własności polskiego magnata węglowego ze Śląska. Był to pierwszy z wielu obcych hoteli, jakie w tej wojnie miały dawać schronienie wielu obcym rządów. A ludzie, na których patrzyłem, byli pierwszą emigracją tej wojny — ale nie ostatnią.

Czyż zdziwicie się, gdy dodam, że już w godzinę później byłem w tłumie odnalezionych przypadkiem znajomych za stolikiem staroparyskiej kawiarni, opodal tego hotelu? Kawiarnie to jedno z akcesoriów smutnego zjawiska emigracji.

* * *

Nowy rząd polski zamieszkiwał prawie w całości w skromnym lewobrzeżnym Hotel du Danube. Tu podczas swych przedwojennych paryskich pobytów stawał generał Sikorski za lat swej opozycji, tu stawali jego przyjaciele zarazem polityczni jak osobisci Kot, Stroński, Strasburger. W niskich pokojach Hotel du Danube powstał nowy rząd polski w ostatnich dniach a raczej godzinach tragicznego września.

Jednego z pierwszych spotkałem w Paryżu Aleksandra Ładosia, z którym przed wojną nieraz grywałem w bridge'a u profesora Tenenbauma. Zapytany co porabia, odpowiedział:

— Jak to, nie wie pan? Jestem jednym z siedmiu członków rządu!

Po czym umówiliśmy się na dłuższą pogawędkę w kawiarni i tam minister Ładoś opowiedział mi interesujące kulisy historie stworzenia tego emigracyjnego rządu. Więc najpierw Mościcki nie chciał podpisać swej rezygnacji ze stanowiska prezydenta. Nasz ambasador w Rumunii, Roger Raczyński z trudem go do tego namówił. Po czym Mościcki mianował swym następcą generała Wieniawę-Długoszewskiego, wówczas ambasadora w Rzymie. Wieniawa przyjechał do Paryża, gdzie Sikorski i inni przywódcy dawnej demokratycznej opozycji odmówili współpracy z tym tak sztandarowym człowiekiem dawnego reżymu. Wieniawa miał w kieszeni podpisaną in blanco nominację na prezydenta, ale przez kilka dni zastanawiał się czyje nazwisko tam wpisać. Cekał, że może Sosnkowski zjawi się w którymś neutralnym kraju — ale ten tułał się jeszcze wtedy po Karpatach. Aż przyjechał właśnie do Paryża Raczkiewicz, przedwojenny wojewoda pomorski i prezes Rady Polonii Zagranicznej i w braku mieszkanka zamieszkał u swego dawnego sekretarza, który obecnie miał posadę w ambasadzie i z tego tytułu był szczęśliwym posiadaczem mieszkania. Raczkiewicz właśnie się zastanawiał, jaką by skromną posadkę znaleźć dla przetrwania za granicą tej wojny, gdy zadzwonił telefon i Raczkiewicz dowiedział się, że z woli Wieniawy został prezydentem Rzeczypospolitej. Wkrótce miał do dyspozycji piękny pałac pod Angers. Senator Raczkiewicz rozpoczął od kompromisu z opozycją i powołał rząd Sikorskiego.

Ludzie nowego rządu byli od lat odsunięci od aparatu rządowego. Byli to podstarzali redaktorzy, profesorowie uniwersytetów. Mieli przyjemne staroświeckie maniery z dziewiętnastego wieku, tak odbiegające od raczej koczarskiego stylu polskich rządzących z niedawnego okresu. Mieli dużo rozumu, mało praktyki i rutyny. Najwięcej miał jej sam Sikorski. Trzeba było odrestaurowywać główne zęby aparatu państwowego. Jak tu nie posługiwać się ludźmi dawnego reżymu? Tych było dużo a własnych mało. Opozycja przecież przeważnie pozostała w kraju. Miała pójść w pierwszej kolejce pod niemiecki noz.

Hotel przemieniony na urząd funkcjonował dość dziwnie. Jeden z pułkowników przyjął mnie urzędując w łazience. Z jeszcze bardziej ustronnego i ciasnego miejsca dolatywał odgłos Remingtonu; tam urzędował sekretariat. Dostanie się do ministra spraw wojskowych nie przedstawiało większych trudności. Nie znałem go ani z pułku, ani z manewrów, w których za mojej pamięci nigdy nie brał udziału. Ale znałem go za to dobrze jako znakomitego historyka wojskowości polskiej, zwłaszcza wojen napoleońskich. Marian Kuksiel, tak się zwał nowy minister, brał ongiś udział w tworzeniu wojska polskiego jeszcze przed 1914 rokiem, a zarazem był nader czynny na polu naukowym. Zamach Piłsudskiego skazał go — z wielką dla historii polskiej korzyścią — na ograniczenie się do tej drugiej dziedziny. Teraz upadek Polski i powrót jego przyjaciela, Sikorskiego, przeistoczył na nowo profesora w generała.

MALARSTWO POLSKIE



MARCELI MASZKOWSKI (1837 — 1862)

Młodo zmarły artysta lwowski i przyjaciel Grotgera zapowiadał się jako znakomity rysownik. Reprodukowany rysunek nosi wyraźne cechy romantyczne.

Burza (rysunek)

Prosiłem profesora-ministra o przeniesienie do lotnictwa, jako że po kampanii wrześniowej miałem już dość, do końca życia, służby w piechocie. Generał obiecał mi pomoc, a tymczasem skierował mnie do innego przyjaciela Sikorskiego, też profesora uniwersytetu i też z Krakowa, chwilowo jeszcze nie ministra — Stanisława Kota. Obaj, i Kukiel i zwłaszcza Kot, podobnie zresztą jak Sikorski, odnosili się z dawną przyjaźnią do mego starszego brata, Ksawerego, który jako publicysta posiadał w Polsce pewne wzięcie i którego sympatie polityczne w ostatnich latach coraz bardziej zbliżały do tych ludzi. Mogłem więc udzielić im o nim informacji. Ponieważ razem wyszliśmy niedawno z Krakowa i przez Karpaty i Słowaczną przedostaliśmy się „przez zieloną granicę” na Węgry i stamtąd do Francji. Mój brat już od tygodnia ćwiczył jako rekrut w Bretanii.

Kot był niewątpliwie jednym z najwybitniejszych ludzi polskiej emigracji. Syn chłopca spod Rzeszowa, zrobił świetną karierę naukową jako historyk kultury polskiej, a zwłaszcza dziejów reformacji w Polsce. Dała mu ona katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim — odebraną za rządów Piłsudskiego — co było polityczną represją — a także imię między-narodowe w świecie naukowym. Dyplom doktora honoris causa był jednym z dowodów tego. Kot był poza tym jednym z reorganizatorów ruchu ludowego w Polsce i jednym z przywódców demokratycznej opozycji wraz z Paderewskim, Witosem i Sikorskim. Właśnie niedawno Kot przedostał się ze Lwowa też „przez zieloną granicę” do Rumunii i w ten sposób znalazł się w Paryżu, ku radości tych wszystkich, którzy bali się zbytnej ustepliwości Sikorskiego wobec ludzi pomajowego reżymu i politycznych ambicji wojskowych.

W położonych na przedmieściu Paryża koszarach Bessières mieścił się obóz oficerski. W ciągu kilku miesięcy zdążyło już przybyć tu z Węgier, Rumunii a także Łotwy i Litwy około tysiąca oficerów. Ich rdzeń stanowili oficerowie zawodowi. Byli to albo ludzie ściśle związani z reżymem Piłsudskiego, albo urobieni w jego duchu. Nie rozumieli przyczyn klęski. Ich zdaniem, jeśli co było złem w Polsce, to to, że nie było w niej dość silnej władzy. Przez silną władzę rozumieli w praktyce ingerencję wojska w proces rządzenia. Zagranicy nie znali bądź wcale, bądź znali ją źle. Jeśli wśród inteligencji polskiej znajomość języka francuskiego była z dawna powszechna, to nie posiadał jej niemal wcale korpus oficerski. Gdy we Francji przeciętny inteligent polski nie czuł się specjalnie obco, właśnie dlatego, że miał najczęściej za sobą dwa, trzy i więcej pokoleń nawiązków do wiązania z Francją swych politycznych nadziei, socjalnych aspiracji, intelektualnych upodobań aż do dobrego tonu włącznie, przeciętny polski oficer zawodowy był mniej szczęśliwy. Nie zasmakował w wyrafinowanej kulturze dawnej Francji; raziła go bezceremonialność Francji nowej. Porozpinani, nie salutujący oficerów żołnierze francuscy wydawali się nawiątkiem do żelaznej dyscypliny oficerom polskim widocznym objawem rozkładu. Wino, do którego również w Polsce nie byli nawykli, wydawało się im nieodłącznym atrybutem pijaństwa. Wreszcie istnienie licencjonowanych domów publicznych — było jawnym uświęceniem rozpusty.

Jeśli mnie, wychowanego w kuliście Francji i jej kultury, musiały przynębić rozmowy takie jak w pociągu Lyon—Paryż, powitania takie jak na granicy, to cóż mówić o tamtych. Pretensje do tego, że staba Polska nie walczyła dłużej, obojętność dla spraw wojny, nie mówiąc już o losach aliantów, uwaga pochłonięta w dużej mierze zagadnieniami natury osobistej, jeśli już nie wręcz kulinarnej — wszystko to drażniło niewypowiedzianie i u sposabiało jak najgorzej. Bardzo zaś nieliczni byli Francuzi, którzy starali się te złe wrażenia zatrzeć własnym lepszym przyjęciem. O ileż częściej byli ci, co nieszczęsnym wygnaniem, przybyłym do Francji tylko po to, aby walczyć dalej, wyliczali tym skwapliwiej, najczęściej z dużą przesadą, wszystkie błędy i zaniedbania wszystkich rządów polskich w ciągu tych lat dwudziestu. Jak gdyby w tym właśnie okresie ich ojczyzna nie popełniała ich wcale!

* * *

Oficjalną siedzibą rządu polskiego stało się piękne miasto Angers w dolinie Loary; nad podmiejskim pałacem powiewał polski sztandar, znak, że tu rezyduje prezydent Rzeczypospolitej. Przybyło parę ministrów; biura rządowe rozrastały się. Część ich jednak pozostała w Paryżu. Sikorski bronił się przed tym rozrostem biurokracji. Zaufanym opowiadał o swej gaffie na ten temat.

— Raz — mówi — jestem w Angers, dość zmęczony, aż tu przychodzi profesor N. (Jeden z wiernych Sikorskiemu w dniach jego niepowodzeń).

— Panie generale — mówi — ludzie na mieście mówią, że powinniśmy stworzyć jeszcze ministerstwo sprawiedliwości.

— A to po co — oburza się Sikorski — czy ono tu potrzebne? Zresztą kto byłby ministrem?

— Panie generale — mówi na to profesor — wszyscy na mieście mówią, że ja byłbym najlepszym kandydatem...

Sikorski zmęczony tego dnia, nie zorientował się i wybuchnął:

— Panie profesorze, co mi pan wciąż powtarza: „Na mieście mówią to, na mieście

mówią tamto“... Ze też pan wierzy w każde głupstwo, jakie mówią na mieście.

(Dopiero wtedy — opowiadał Sikorski — spostrzegłem się co rzekłem i jaką gaffę palnąłem i przepaszałem gorąco tego biednego N.).

Zdaje się, że N. niedługo nad tym bolał. Niebawem został ministrem.

Z końcem grudnia, w okresie świąt Bożego Narodzenia, Paryż zaludnił się dziwnymi zjawami. Pojawiły się naraż setki mundurów „bleu d'horizon“, mundury o barwie błękitu nieba, w których w czasie poprzedniej wojny światowej okryła się chwałą i żałobą armia francuska. W latach pokoju armia francuska przeszła na kolor khaki. Tak, ale w starszych magazynach wojskowych na prowincji spoczywały niedonoszone mundury błękitne. Po latach dwudziestu wydobyto je dla ubrania tej armii polskiej, która się tworzyła we Francji. Na Boże Narodzenie przyszły urlopy. Paryż zapelniał się naraż mundurami innej wojny, tylko z polskimi orłami na czapkach francuskich.

Była to dziwna inwazja i dziwna armia. Jako szeregowiec służył w niej niedawny ambasador polski w Berlinie. Malarze, dyplomaci, górnicy, robotnicy rolni, urzędnicy,

WIESŁAW OSTERLOFF

Za objaw bardzo dodatni należy uznać coraz większe zainteresowanie się literaturą dla dzieci. Ze wszystkich bowiem dziedzin piśmiennictwa ta najdłużej leżała odłogiem, chociaż nie brakło odpowiednich piór. Produkcja utworów dla najmłodszych, zawsze u nas dosyć obfita, przemilczana była jednak przez krytykę. Gdy książki dla dorosłych dostawały się pod mikroskop badacza literatury i były nicowane gruntownie, rozpatrywane w aspekcie kulturalnym, społecznym, religijnym, przyrodniczym, metodologicznym, indywidualnym, ogólnoludzkim, formalnym, estetycznym, ideologicznym itd., odbrazowane i uczłowieczane, albo monumentalizowane czy po prostu naciągane pod widzimisię własnych poglądów — też sama krytyka przez ramię spoglądała na piśmiennictwo dla dzieci, zbywając je co najwyżej suchą wzmianką, nie dopatrując się w nim głębszego społecznego sensu.

Przyczyną tego stanu mogło być pokutujące od dawna przekonanie, że literatura dla najmłodszych jest niższym gatunkiem artystycznym, noszącym cechy koniecznego wprawdzie, ale zgoła szarego rzemiosła, ponadto zaś niedomogi krytyki artystycznej, a mianowicie powszechny brak u niej kośca socjologicznego. Fakt, że dziś to się poczyną zmieniać, jest dowodem zerwania myśli krytycznej z przeżytkami tradycji. Nowa, jeżeli jeszcze niezupełnie skryształizowana, to przecież podskórnie odczuwana filozofia gromadka nakazuje wszelkie przejawy życia kulturalnego przenosić na płaszczyznę czystszych i lepszych form społecznego życia i szukać dla nich właściwych dróg rozwoju. A może też ciężko dotknięte ubytkiem milionów ludzi narody widzą ratunek w przyszłym pokoleniu, co skłania je do bliższego zajęcia się dziećmi i ich małym światem. Nie są więc wcale przypadkiem zjawiające się ostatnio w prasie periodycznej mniej lub więcej wnikliwe rozważania na temat właściwej i niewłaściwej literatury dla dzieci. Dziwi się jednak należy, że autorzy, bądź problemem tym szerzej się zajmujący, jak np. Kr. Kuliczowska w „Odrodzeniu“, bądź też przygodnie tylko oń potrącający, milczaniem pomijają fakt wysoce ujemnego oddziaływania bajek niemieckich na piśmiennictwo polskie. W szczególności chodzi tu o baśnie Grimma, z którymi siedmioletnie dziecko wchodziło do pierwszego oddziału szkoły powszechnej epoki przedwrześniowej, ucząc się na wzorach germańskich swoistego światopoglądu. A że wpływ ten był przemożny, świadczy przypadek Sieroszewskiego. Sędziwy i szanowny prezes naszej Akademii Literatury zapragnął u schyłku żywota odbyć rozkoszną wędrowkę w krainę czaru lat dziecińczych i spisał bajki, które mu kiedyś, dawno niania opowiadała. Nie zauważył jednak wcale, że była to dosyć dokładna kopia grimmowskich „Haus und Kindermärchen“.

Znawca i głęboki krytyk literatury niemieckiej prof. Wilhelm Scherer zwie je wprawdzie „najniwieńszymi“ opowiadaniem, ale znawcom i krytykom niemieckim, nawet najbardziej utytułowanym, rzadko można wie- rzyć na słowo. Wiele i opinia jego o ich autorze (mowa o Wilhelmie Grimmie) niekoniecznie musi być ostateczna:

„On wiedział czego dzieci słuchają chętnie. Stworzył właściwy styl tych baśni, ich samych nie wymyślając. Umiał z ustychnych, wśród ludu krążących opowieści wybrać najlepsze, najczarowniejsze i najmiłsze rysy, które następnie przerobił według właściwego sobie poczucia smaku... Zwrócił całemu narodowi niewinne opowiadania dziecięce, które się wyczołgały do sfer najniższych, i dokonał w swoim rodzaju skończonego dzieła sztuki, znajdując także i poza Niemcami poklask i naśladow- nictwo.“

nauczyciele ludowi, docenci uniwersytetów, poeci — z Peru, Finlandii, Mandzurii, Argentyny, Stanów Zjednoczonych, Konga, Meksyku, Persji porzucali nieraz dobre posady na obczyźnie i spieszyli na własną rękę do Francji, by dołączyć do tej armii. Nieraz już zapomnieli ojczystego języka, ale pamiętali, że Polska była ich pierwszą ojczyzną i chcieli dla niej walczyć. Dziwnie inaczej wyglądali ci ludzie w błękitnych mundurach z tamtej wojny, zniszczonych i wytartych, niż suto dekorowani sztabowcy z ekipy Śmigłego-Rydza. Na ich widok budziły się w Paryżanach pewne sentymenty dla Polski. Ale szybkość klęski polskiej nadal była dla nich niezrozumiała.

Znad Renu dochodziły nudne wieści o patrolach, ostrzeliwaniu, propagandzie niemieckiej. Była ona silnie antyangielska i miała pewne powodzenie. Anglicy we Francji byli wówczas, jak w parę lat później Amerykanie, bogatymi aliantami. Żołnierz z angielskich pułków, rozmieszczonych na Północy i koło Rennes, był w stosunku do francuskiego świetnie opłacany, tak samo jak później żołnierz amerykański w stosunku do angielskiego. Powiększało to zadróżnienia. Ani my jednak, przybysze, ani nikt we Francji nie przywiązywał do tych zadróżnień większej wagi.

Pokuśmy się o próbę rozpatrzenia tych niewinnych opowiadań z punktu widzenia kryminologicznego, społecznego i pedagogicznego, a zobaczymy, w jaki grymas wykrzywną się owe „najmiłsze rysy“.

Na samym wstępie wyłuszczonej poniżej dociekań zastrzec musiny, że terminu baśń i bajka będziemy używać dla uproszczenia jako synonimów, wbrew słusznemu przyjętemu w metodyce literatury podziałowi.

ELEMENTY KRYMINALNE

Klimat większości bajek jest duszny, mroczny, przeładowany niezdrową sensacyjnością. „Hintertreppenliteratur“ w najgorszym wydaniu, z właściwą brukowym romansom kryminalnym tematyką: naiwna intryga, motyw zemsty, okrucieństwa, gruboskórny podstęp z nieodzownym happy endem połączone prawie zawsze z wyrafinowanym aktem odwetu. Gotowy scenariusz wulgarnego filmu, obliczony na niewybredny gust widzów szukających niezdrowych podnieć wśród tajni i mroków najniższych złóż duszy ludzkiej; o czym mogą być owe baśnie, w których motywem przewodnim jest niezmiennie zemsta. Poprzez fabule ich przewija się zbrodnia i mord, nieprzerwane pasmo krwi, okrucieństw i wyrafinowany sadyzm. Naiwny realizm w opisywaniu aktów zbrodni, znęcania się czy tortur rozbudza fantazję dziecka w najnieodpowiedniejszym kierunku, dreszczykiem perwersji wypaczając ją zbyt wcześnie.

Rekord pod tym względem bije bajka „Fitchers Vogel“, która jest jedną nie kończącą się symfonią zbrodni. Dziwnie musi reagować myśl dziecka na naturalizm tej opowieści: „wielka krwawa nlecka stała pośrodku, a w niej leżeli martwi półwiatrowani ludzie; obok stał pniak a na nim błyszczał topór“. Albo taka scena mordu: „rzucił ją o ziemię, włókł za włosy, odciął jej głowę na pniaku i półwiatrował ciało, tak że czerwona krew spływała po ziemi“.

Zbrodnia staje się tematem naczelnym i osi, wokół której obraca się niepowinnością zazwyczaj intryga. Czarnym charakterem baśni bywa najczęściej kobieta, z reguły macocha. Dają się tu wysłuchiwać ciekawe zbieżności ideologiczno-tematyczne z bohaterскими legendami niemieckimi, a przede wszystkim z „Pieśnią o Nibelungach“ i „Gudrun“. W tych posepnych sagach, podobnie jak i w bajkach Grimma, niewiasta jest „spiritus movens“ akcji, kapłanką zemsty, niestrudzoną instygatorką, szukającą za wszelką cenę zapłaty za doznana obrazę osobistą. W germańskiej Iliadzie Krimhilda żyje tylko pragnieniem odwetu. Nienawiść toczy jej serce jak kornik drzewo. Lata długie przemina a żądza pomśzczenia krzywdy nie scichnie; przeciwnie rozpala się w coraz gorętszy płomień namiętności, który ugasi dopiero rzeka krwi herosów własnego rodu. Obrażona duma osobista, przerosła ambicja, nieposkromiona megalomania wybujałego egoizmu pozwoli jej skazać na zagładę własny szczerp i zgubić samą siebie, byle tylko dopiąć celu. Tu już znajdujemy się na krawędzi absurdu, u granic psychologicznej niekonsekwencji, jaką się staje zemsta dla samej zemsty.

W baśniach tu omawianych kobieta jest także z nielicznymi wyjątkami inspiratorką zbrodni, do której podniecia są zawsze pobudki niske. Zwykle zadróżdo o urodę rywalki lub konkurentki własnych córek, urażona próżność i tym podobne motywy są źródłem intrygi, której finałem będzie mord z premedytacją lub co najmniej jego usiłowanie. I tak w najlepiej może w Polsce znanej „Śnieżyczce“ macocha, zawistna o piękniejszą od siebie pasierbicę, knuje podstępnie plan zbrodni. Namawia gajowego, by wyprowadził dziewczynę w las i zabił, na dowód czego ma przynieść jej płuca

Wszyscyśmy za Francuzami wierzyli we francuską armię i w linię Maginota. Wspomnienie tamtej wojny, Verdun i Focha, dało armii francuskiej zaufanie świata, a reklama, jaką otoczono linię Maginota, powiększyła jeszcze pewność siebie. „Nous vaincrons parce que nous sommes les plus forts“ — „zwycięzimy, bo jesteśmy silniejsi“ — mówił propagandowy plakat.

Moje starania o przyjęcie do lotnictwa skończyły się fiaskiem. Pierwszego stycznia przyjął mnie nowy dowódca lotnictwa polskiego, generał Zająć, wysłuchał mej prośby, rozłożył beznadziejnie ręce i powiedział:

— Na razie nie mam jeszcze ani jednego samolotu dla mych wyszkolonych pilotów. Niech pan się zgłosi za pół roku. Może wtedy rozpoczniemy szkolenie.

Zrezygnowałem z lotnictwa i parę dni potem jechałem pociągiem w stronę Bretanii, z przydziałem do pierwszej dywizji polskiej. Jak wszyscy moi koledzy marzyłem, by wreszcie zrzucić z siebie podarowane przez Czerwony Krzyż węgierski szaty emigranta, nałożyć mundur żołnierski i z pierwszym oddziałem ruszyć na front.

Mieczysław Pruszyński

Kryminalistyka i bajki Grimma

i wątrobę. Gajowy, litując się nad nieszczęśliwą ślicznotką daruje jej życie i zamiast niej zabija łanię, której wewnętrzności oddaje macosze. Ta zjada je w przekonaniu, że się pozbyła rywalki. Jest to częsty w bajkach niemieckich motyw ludożerstwa, który może jest refleksem zamierzczłych czasów antropofagizmu.

Oczywiście, niewinność ostatecznie po różnych tarapatach tryumfuje, sprawiedliwość zwycięża, niecnota zostaje ukarana. Ale sposób, w jaki się to dzieje, jest mało przekonujący; zbyt dużo tu bowiem mamy wyrafinowanego okrucieństwa, sadystycznego zadowolenia z udręki pokonanego przeciwnika. Nie jest to tryumf sprawiedliwości jako nadrzędnego trybunału społecznego rozdziału kar i nagród za dobro i zło; raczej akt samowolnego odwetu ze wszelkimi akcesoriami egoistycznej żądy pomsty. Nie wystarczy sama śmierć winnego, musi ona być połączona z całą aparaturą inkwizycyjną tortur jak we współczesnym gestapo. W bajce o „Dwunastu braciach“, król po wykryciu intrygi wrzuca rodzoną matkę do beczki z rozpalonym olejem i węzami. W „Śnieżyczce“ zbrodniarka musi obuć żelazne pantofle rozgrzane do czerwoności i tańczyć w nich, aż padnie martwa. W innej „U trzech karzełków“ („Die drei Männlein im Walde“) wsadza się macochę do kadzi z nabitymi gwoździemi i każe stoczyć do rzeki. W „Gęsiarce“ znów zła pokojówka zostaje zamknięta naga w beczce z ostrymi cwičkami a dwa zaprzężone konie ciągną ją ulicami. Nie brak też scen palenia żywcem, topienia, czy porzucenia na rozszarpanie dziłkim zwierzętom.

Często przypisuje się Niemcom jako ich dodatnie cechy narodowe zmysł organizacyjny, planowość i pedanterię. Te walory znajdują w bajkach również pełny wyraz, ale w sensie ujemnym. Zbrodnie przygotowywane są w drobniagowych szczegółach, tak, że mamy zawsze do czynienia z zabójstwem lub jego usiłowaniami, obmyślonym na zimno i przygotowanym w szczegółach. Posługując się terminologią kryminalną nazwiemy je morderem z premedytacją, wykluczającym zastosowanie okoliczności łagodzących w wymiarze kary. Nie może bowiem wchodzić w rachubę działanie w afekcie czy dolus eventualis.

Np. w bajce o „Znajdaku“ („Der Fundevogel“) stara kucharka idzie pewnego wieczora z dwoma wiadrami do źródła i wędrowkę tę odbywa tyle razy, że zdumiona wychowanka leśnika pyta ją wreszcie o przyczynę gromadzenia wody w takiej ilości. Na co dostaje odpowiedź: „Jutro z rana, kiedy leśnik pójdzie na polowanie, zagotuję wody, a gdy kocioł pełen będzie wrzątku, wrzucę do niego Znajdka i ugotuję go“. Albo we wspomnianej już baśni o dwunastu braciach — król powiada do żony, z którą ma dwunastu synów: „Jeżeli trzynaste dziecko, które wydasz na świat, będzie dziewczynką, to dwunastu chłopców musi umrzeć, aby bogactwo jej było wielkie i królestwo jej tylko przypadło“. Polecił też zrobić dwanaście trumien napełnionych trocinami, a w każdej leżała poduszka dla umarłych i kazał je zanieść do zamkniętej izby. Trudno już chyba o bardziej przewidującą zapobiegliwość w planowaniu zbrodni.

Sadystyczne lubowanie się w wynajdywaniu udręek fizycznych i absurdalnych zleceń jest częstym motywem wielu bajek: zimową porą macocha szyje pasierbicy sukienkę z papieru i wysyła ją do lasu po poziomki („Drei Männlein im Walde“), to znów każe jej tak długo prażyć, aż jej krew z palca tryśnie („Czarna i Złota Marysia“). Wychowana na tego rodzaju opowieściach młodzież niemiecka, gdy jej się potem zdarzy znaleźć w roli strażników obózów koncentracyjnych, będzie się licytowała w wymyślaniu niedorzecznych robót, których absurdalny nonsens bardziej niż sam wkład

fizycznego wysiłku męczył wszystkich, którzy zakosztowali Mauthausen, Buchenwaldu lub Oświęcimia.

Sadyzm i okrucieństwo w baśniach Grimma łączy się niezmiennie z przedziwnym brakiem wrażliwości na cierpienia bliźniego. Oschłość serca, tępość uczuć i automatyzm postępów — to zwykłe cechy ich bohaterów. W bajce „Jaś i Małgosia” dzieci po dokonaniu spożywczego szaberku łakoci z domku czarownicy dostają się w jej władzę. Jaś, długo i usilnie łuczony, jest już dość tłusty, by stać się smaczny kęsem na jej obiad. W tym celu czarownica przygotowuje piec chlebowy i wchodzi wewnątrz, by przekonać się czy jest dobrze rozpalony. Wtedy Małgosia zaryglowuje za nią drzwi i podczas gdy pieczona żywcem wiedźma nie-ludzko wyje, dzieci, nie zwracając na ryki najmniejszej uwagi, spokojnie zajmują się grzebią perłą i drogich kamieni. Czyż bardzo więc dziwić się można, że gdy taki Hansel wyrośnie na dużego Hansa i w reżymie hitlerowskim zostanie SS-maniem, będzie pakował ludzi żywcem do krematorium, a sam, przy akompaniamentie krzyków palących się ofiar, niefrasobliwie wyrwał trupem złote zęby?

Wymuszania zznać biciem uczyć się będzie znowu, już we wczesnym dzieciństwie, na innej bajce („Die kluge Bauerntochter”), gdzie wieśniak nie chce wskazać skarbu. Wtedy „legten sie ihn aber auf ein Gebund Stroh und schlugen und drangsalten ihn so lange, bis er bekannte” (położyli go na wiązce słomy, bili i okładali tak długo, aż wyznał tajemnicę).

Najbardziej może w całym kodeksie aspołeczna zbrodnia porzucenia albo pozbycia się dziecka jest osnową baśni o Jasiu i Małgosi. Zagadnienie kazirodztwa wkraczając w mroczną gęstwinę zaburzeń i rozstrojów seksualnych porusza na szczęście mało u nas znana bajka „Allerleirauh”.

Z tego, bynajmniej niewyczerpanego, przeglądu tematycznego widzimy mnogość motywów kryminalnych, cechujących zresztą nie tylko bajki zbiorów grimmowskich, ale wszystkich niemal niemieckich podań ludowych. Te i podobne treści znajdziemy także w bajkach najpopularniejszych po braciach Grimm, u Musäusa i Hauffa. Ze względu na małą znajomość ich w Polsce celowo pomijamy je w naszych rozważaniach.

ASPOŁECZNOŚĆ

Istnieje powszechne mniemanie, że Niemcy wykazują bardzo silne poczucie więzi życia rodzinnego. Instynkt solidarności rodzinnej, poczucie związków krwi jest u nich podobno żywsze niż u innych narodów. Ono też stworzyło trudne do przetłumaczenia na obcy język pojęcie „Heim”. W świetle grimmowskich opowiadań wygląda ta rodzinna sielanka zgoła inaczej. Brak zupełnie idyllicznych obrazów pogody życia rodzinnego. Nie ma wcale harmonii i współpracy „Sippengemeinschaft”. Przeciwnie, związek rodzinny jest z reguły źródłem rozdziewików, dysonansów, nieszcześć i tragedii. Nie pokrewieństwo czy powinowactwo, przywiązanie i miłość, lecz uczucia ujemne, jak nienawiść, zazdrość, złośliwość, chęć dokuczania sobie i obrzydzania nawzajem życia biorą górę.

Złym duchem światła rodzinnego bywa zawsze macocha, której sekundują dzielnie córki, wspólnie znęcające się, dokuczając, bijąc i gło-dząc pasierbice. Problem macochy, wart oddzielnego studium, postawiony z gruntu fałszywie, na aspołecznej platformie, zasługuje na baczną uwagę, szczególnie dziś, kiedy skutkiem wojny setki rodzin zostały rozbite i wielu owdowiłych ojców stanie wobec zagadnienia

wstąpienia w ponowne związki małżeńskie, by osieroconym i nieraz zaniedbanym dzieciom dać opiekę macierzyńską. Chociaż jednak w baśniach Grimmów tendencyjne wysunięcie na plan pierwszy macochy jako „rozbiłaczki” domowego ogniska może być tłumaczone chęcią obrazowego uwypuklenia szczęścia z posiadania własnej matki, to przecież fakt ten nie wyjaśnia jeszcze ostatecznie całej kwestii. W miejsc bowiem kochającej się rodziny, żyjącej w atmosferze wzajemnego zaufania, mamy do czynienia z mniej lub więcej jaskrawą formą zmagania się dzieci z rodzicami. Nie ufność, ale podejrzliwość, nie szacunek, ale obawa, ce-chują stosunek dzieci nie tylko do macochy, ale i do ojca. Ojciec, podobnie jak mężczyźni germańskich klechd bohaterskich, ulega zawsze kobiecie, jest bezwolnym instrumentem jej zachcianek i kaprysów. Można by tu doszukiwać się śladów pierwotnego matriarchatu, który niemiecki uczony Bachofen uważał za pierwotną formę ustroju społecznego, właściwą dawnym Germanom. Ale i wtedy nawet, kiedy ojciec nie znajduje się pod złym wpływem macochy, stosunek jego do dzieci, a zwłaszcza do synów, ma mało wspólnego z ideałem miłości. W bajce „O jednym takim, co wyruszył w świat, by się nauczyć strachu” ojciec powiada do syna, który stracił ze schodów dzwonniką udającego upiora: „Ach, z tobą będę ja miał tylko nieszczęście, zejść mi z oczu, nie chcę cię więcej oglądać”, a gdy syn chce przeczeć rana, by potem iść w świat i uczyć się lęku, mówi ojciec: „Ucz się czego chcesz, mnie jest wszystko jedno”.

Bajki nie znają zupełnie wypadków poświęcenia, rezygnacji, ofiary w imię miłości dla dziecka. Ojciec bez większego oporu zgadza się na porzucenie w lesie dzieci z obawy, by sam nie umarł z głodu („Jaś i Małgosia”). Dzieci z kolei spiskują przeciw rodzicom. Nie dowierzając i, nie bez racji, bijąc się starszych, stosują z powodzeniem metodę podśladu, szpiegowania i podstęp. Jedyny rzadki przykład solidarności i porozumienia, to wspólna kampania macochy z córkami przeciw pasierbicy. Tylko ona składa dowody prawdziwej miłości i poświęcenia dla córek, ale wartość moralna tych aktów odarta jest z jakiegokolwiek cnót. Między rodzeństwem solidarność występuje również dosyć rzadko, częściej zaś zawiść, niezdrowa rywalizacja i zazdrość dzielą braci i siostry. Taką jest rodzina, fundamentalne spoidło społeczne, w ujęciu bajek Grimma.

A chociaż „das Heiraten ist eine Freude, und ist auch eine Qual” (małżeństwo daje radość ale i mękę — „Die drei Männlein im Walde”) — to w ideologii baśni zdaje się ono być radością tylko w pierwszej fazie, do czasu przyścia na świat dzieci, a potem przemienia się w jedną wielką udrękę. Również stosunek męża do żony bywa nieraz, łagodnie mówiąc, oryginalny. W bajeczce zatytułowanej ironicznie „Mądrzy ludzie”, wieśniak wyjeżdżając z domu na kilka dni zleca żonie sprzedać krowy. Ta zapewnia, że załatwi interes pomyślnie. Na to mąż: „Tak, tyś jako małe dziecko upadła na głowę i to pozostało ci do tego czasu. Ale powiadam ci, jeśli zrobisz głupstwo, pomaluje ci plecy na niebiesko, i to bez farby, tylko tym kijem, który mam w rękę, a malowidło przetrwa cały rok; na to możesz się zdać”. Takie są słowa rozstania. Tak wygląda miłość małżeńska.

Skoro rudymetarny składnik społeczeństwa, jakim jest małżeństwo i rodzina, zamiast momentu uczuciowego łączy tylko przypadek — nie przeto osobliwego, że w tym kłębowym wzajem się kłapiących żmij próżno będziemy szukać aspektów społecznych, poczucia odpowiedzialności społecznej czy gromadzkiego instynktu. „Homo homini lupus” — taka jest kwintesencja moralistyki społecznej owych bajek.

Nie będziemy się tedy już dziwić i ich ideologii antysemickiej, której, rzec by się chciało, planowaną proklamacją jest opowieść „Der Jude im Dorn” a dalszą propagandą „Der gute Handel”. Motyw semitofobii, nota bene nader częsty w niemieckiej literaturze dla dzieci już od lat-stu pięćdziesięciu z górą, znajduje jaskrawy wyraz w większym może jeszcze stopniu u Musäusa, który w jednej ze swych bajek z upodobaniem każe wyrwać Żydowi bro-de włos po włosie i obcinać uszy — i to zawsze z bezkrytycznym amoralizmem żydożercy, nie czującym zgola potrzeby rozgrzeszenia swoich postępów dialektyką sofistyczną, jakże wątpliwej wartości rabulistyka. Jakże inaczej traktuje sprawę różnic rasowych dobrotliwy mędrzec — głaziciel zmarszczek duszy ludzkiej — Andersen, w bajce pt. „Żydówka” walcząc świadomie z niedorzecznością przedziałów kastowych i dając miły wizerunek małej semitki.

BŁĘDY PEDAGOGICZNE

Z nakreślonych powyżej uwag mamy już wyraźny obraz wychowawczych walorów bajek niemieckich. Nadmiar elementów krymi-nałno-sensacyjnych i zapoznanie czynnika społecznego świadczy dowodnie o braku głębszych wartości pedagogicznych. Ale to nie wyczerpuje jeszcze zagadnienia. Przede wszystkim podkreślić należy wyolbrzymienie znaczenia pieniądza, jako wartości, którą się mierzy postępy. Kult złota, chciwość i żądza majątku — oto przed czym skłaniają głowy postacie baśniowe. Bogactwo staje się najwyższym celem

ludzkich wysiłków. Ordynarny materializm w etycznym, nie ekonomicznym znaczeniu tego słowa, wkracza nawet i do sfery moralnej, a dobre uczynki nie znajdują innego probiera nagrody, jak pieniądź. Dobroć dziewczynki wynagradza karzelek osobliwym darem, z ust jej razem ze słowami spływają złote monety („Die drei Männlein im Walde”). Frau Holle obsypuje złotą Marysję za jej wrażliwość i uczynność ulewnym deszczem pieniędzy. Tego materialistycznego spojrzenia na świat nie ustrzegł się nawet Bóg, zsyłając deszcz talarów cnotliwemu dziecku („Die Sterntahler”). A mała dziewczynka wypowiadając przed panem świata życzenia pragnie być „białą i czystą jak dzień”, następnie chciałaby „posiadać woreczek z pieniędzmi, który by nigdy nie był próżny”, a na samym dopiero ostatku życzy sobie królestwa niebieskiego po śmierci („Biała i czarna narzeczona”).

Nie wartości wewnętrzne, doskonalenie się duchowe, rozwój cnót społecznych są morałem baśni — ale czysto zmysłowe, doraźne, namacalne korzyści materialne — pieniądź, złoto, bogactwo są ich ideałem. Etyka filisterska, filozofia episjera — typowo burżuazyjny ideał życia. Kult pełnej kabzy, poszanowanie bogactwa i dostatku — tego uczą owe bajki, od lat najwcześniejszych wpajając w młode umysły przeświadczenie o nadrzędności dóbr materialnych i magicznej potędze pieniądza. Małomieszkańska ideologia bankierska zdolna wychować zastępy późniejszych rycerzy przemysłu, którzy nie będą mieli nic wspólnego z arystokracją ducha. Szczęście jest zawsze synonimem bogactwa, dobrobytu — w nim tkwi sens istnienia, ono jest metą wysiłku życiowego. To zwulgaryzowanie i pomniejszenie wartości życia, sprowadzenie sensu wysiłków ludzkich do ideału vegetatywnego mówi samo za siebie. Nie można się w tym dopatrzyć ekonomicznego racjonalizmu. Jest to tylko pospolite kramarstwo, mierzące ludzkie postępy łokciem i pi-niędzmi.

Dla uzyskania materialnych korzyści nie ma dość wysokiej ceny. Siostry przyrodnie w „Kopciuszku” nie zawahają się przed samokalececiem (jedna uciną sobie piętę, druga palec u stopy) byle zostać królową i osiągnąć związane z tym splendory. O ileż większa będzie niewrażliwość na cierpienia cudze, zadawane z sadystyczną lubością. Zresztą okrucieństwo jest dominantą uczuciową nie tylko ujemnych postaci baśniowych. W ujęciu Grimmów symbol dobroci słońce i łagodny, melancholijny księżyc są niemniej okrutne od najgorszych macoch i czarownic, gdyż pożerają małe dzieci („O siedmiu krukach”). A „niewinne” gołębki wydzibują złym dziewczętom oczy („Kopciuszek”).

Czasem występuje dziwaczne pomieszanie współczucia z brakiem serca, np. w „Białym wężu”. Wyrzucone przez rodziców z gniazda małe kruki biadają głośno, że przyjdzie im umrzeć z głodu. Przejeżdżającemu mimo bohaterowi żal niedołączonych piskląt, więc „dobry młodzieniec zsiadł z konia, zabił go i oddał młodemu krukowi na żer”. Osobliwa miłość do zwierząt, w naszym pojęciu zupełnie niezrozumiała i łacno stwarzająca niebezpieczne sugestie w dziecięcych umysłach.

Jeżeli wychowanie ma być „sztuką, która wydobywa z głębi istoty i powołuje z głębi świata i życia wszystko, cokolwiek w niej tkwi, sztuką, która rozwija jednocześnie wszystkie jej siły i pomaga jej wzlotowi do celu szlachetnego, słowem kształci ją”, a jednym z celów wychowania jest „osaczenie i zahamowanie instynktów i dążności, gotowych zakłócić równowagę psychiczną” (Spasowski, „Zasady samokształcenia”) — to we wspomniany cel wychowawczy godzą wyraźnie bajki Grimma, rozbudzając a nie osaczając niskie instynkty. Nienawiść, wściekłość i złość osią-gają tu takie natężenie, że twarze miotanych tymi uczuciami osób zielenieją i żółkną, a w stanie takiego paroksyzmu ludzie popełniają nawet samobójstwo. Rozsierdzonego krasnoludek „ze złości tupnął prawą nogą tak gwałtownie o ziemię, że mu się wbiła aż po brzuch, a wtedy wściekły schwył oboma rękoma za lewą stopę i rozdarł się sam na dwie połowy” („Rumpelstilzchen”).

Wł. Radwan („Ideał wychowawczy”) powiada: „Żeby móc żyć, trzeba mieć poczucie wartości swego życia, poczucie, że dzięki nam coś się dzieje, coś zmienia się w otoczeniu czy w nas samych. Takie poczucie daje nam tworzyć rolę w życiu, nawet w zakresie najskromniejszym”. Tymczasem w bajkach Grimma dziecko ma jedynie poczucie cudownej siły nadprzyrodzonej w postaci karzełek, czarowników i wróżek, dzięki której losy bohatera ulegają zmianie, która rzadko jest słuszną konsekwencją jego postępów. Sławę, majątek, mądrość zdobywa się nie przez wysiłek własny i cnotę (jak u Andersena), ale przez spryt, podstęp lub przypadek zrzędzenia losu.

Ilustrując nasze wywody, możemy stwierdzić, że lektura takich utworów nie działa budząco i nie kształtuje w świadomości dziecka wartości społecznych. Nie ukazuje obrazu życia zbiorowego opartego na zasadach ładu prawnego i etycznego. Nie dąży do ideałów duchowych i nie budzi tęsknoty za prawdziwą szlachetnością serca i umysłu, tęsknoty stanowiącej warunek indywidualnego kształcenia się i społecznego doskonalenia. Jest to więc lektura szkodliwa, a co najmniej niepo-trzebna.

Wiesław Osterloff

Rumuński polihistor

B. Petriceicu-Hasdeu. Ioan Voda vel Cumplit. Wydał, komentarzem i wstępem opatrzył Ion Const. Chitimia. Craiova 1942. Wydane w serii Biblioteki Klasyków Rumuńskich pod red. prof. Cartojana.

Pogranicze Podola i Besarabii było od najdawniejszych aż do najnowszych czasów terenem spotykania się i krzyżowania najrozmaitszych wpływów i promieniowań kulturalnych. Stykały się tu wpływy polskie z ukraińskimi a rosyjskie z rumuńskimi. Tej mozaice kulturalnej odpowiadała podobna mieszanina etniczna, tak, że nawet w jednej rodzinie można było spotkać reprezentantów najrozmaitszych wpływów kulturalnych. Przykładem tego jest rodzina Hasdeu (Hyздеu). Jeden Hasdeu, w czasie wewnętrznych walk politycznych w Moldawii emigrował za Sobieskiego do Polski, gdzie się osiedlił i potomkowie jego zupełnie się polszczyli. Z nich Tadeusz Hasdeu (1769—1855) był nawet poetą polskim, tłumaczył na polski Kołczubę; jego pióra jest m. in. „W dzień koronacji najjaśniejszego Wszechrośsy Imperatora Pawła I Oda” (1797). Zonaty był pierwszy raz z Polką Denhoffówną, drugi zaś z Żydówką Walerią Hrizant. Z pierwszego małżeństwa miał syna Tadeusza, pułkownika rosyjskiego, który osiedlił się w Besarabii, z drugiego zaś Bolesława oraz Aleksandra (1811—1872). Ten ostatni, zonaty znów z Daukszańką, córką szlachcica polskiego, litewskiego pochodzenia i rumuńskiej bojarki Mortum, był profesorem w gimnazjach podolskich w Winnicy i Kamieńcu Podolskim i w Równem Wołyńskim, miał podobnie jak ojciec wszechstronne zainteresowania, ale pisał wyłącznie po rosyjsku; ułożył też ody na cześć Mikołaja I, przełożył na język rosyjski „Historię prawodawstw słowiańskich” Maciejewskiego, współpracował z pismami rosyjskimi jak „Teleskop” i in., ogłosił po rosyjsku szereg rozpraw o folklorze besarabskim, okazywał wybitne zainteresowanie i nietajoną sympatię dla spraw słowiańskich. Po r. 1860 przeniósł się z Podola do Besarabii. Otóż synem tego rosyjskiego pisarza, wnukiem zaś polskiego poety, był znany pisarz i historyk rumuński Bogdan Petriceicu-Hasdeu (1838—1907), którego najwybitniejszą dzieło „Ioan Voda cel Cumplit” niedawno wydał ponownie i opatrzył obszernym, 142 stronicowym, będącym jakby osobną pracą wstępem oraz komentarzami młody badacz polsko-rumuńskich stosunków kulturalnych w przeszłość, ongiś sty-pendysta warszawski, dr Ion Const. Chitimia.

Na Bogdanie Petriceicu-Hasdeu od najwcześniejszego dzieciństwa zaciążyły wszystkie te wpływy i oddziaływania kulturalne, wszystkie te cechy, które odziedziczył po swych przodkach rumuńskich, polskich, litewskich, ukraińskich czy żydowskich. W szkole średniej, potem na uniwersytecie charkowskim brał się z Polakami, językiem polskim władał zupełnie biegle, jeszcze w późnym wieku korespondując z wielkim polskim uczonym prof. Baidoum de Courtenay posługując się czystym językiem polskim. Oczywiście jako synowi profesora języka rosyjskiego nie mógł mu być obcy ten język. Przeniosłszy się wszakże do Moldawii, pozostał już w środowisku rumuńskim i w tym języku ogłaszał swoje prace i dzieła. Od wczesnej młodości Bogdan Hasdeu, podobnie jak jego ojciec i dziadek, był „polihistorem”, interesował się wszystkim, był uniwersalnym erudyta, jakich nie brakło w tym okresie szczególnie wśród narodów, które dopiero budziły się do życia kulturalnego. Genealogia, historia, etnografia, badania językowe, bibliografia, nie mu nie było obce, ale obok tego redagował czasopisma, wydawał publikacje dokumentów historycznych („Arhiva Istorică”, „Columna lui Traian”), ba nawet pisał dramaty („Rasvan si Vidra”), powieści, był też cietym satyrykiem, coś jak nasz, nieco wcześniejszy, Sękowski.

W swych pracach Bogdan Hasdeu chętnie sięgał do tematów i źródeł polskich, znał nasze archiwa, w swych publikacjach historycznych ogłosił wiele przekładów z naszych dokumentów. Interesując się przeszłością swej rodziny wraca wciąż do spraw polskich: przydomek „Petriceicu”, który sobie obrał, był też próbą nawiązania swej genealogii do jednego z gospodarów moldawskich, który szukał schronienia w Polsce. W swych utworach Hasdeu stale opisuje wydarzenia związane z dziejami polskimi, np. „Domnita Roxana”, dzieje sławnej Roksany władającej się ze sprawami polskimi i kozackimi, będące ongiś tematami rozpraw Szajnochy i Kubali. Do tych prac Hasdeu, które najlepiej wykazują jego znajomość spraw i źródeł polskich należy wydane na nowo w czasie wojny, jego dzieło poświęcone gospodarowi moldawskiemu z lat siedemdziesiątych XVI wieku Ioan Voda cel Cumplit, zwanemu też „Armeanul” (Ormianin). Była to interesująca postać, nieraz przyciągająca uwagę historyków czy nawet powieściopisarzy. Syn hospodara Stefanita (Stefanka) i jakiejś Ormianki (stał przydomkiem), ambitny młody książę podróżował sporo po Polsce, Niemczech, uzyskał wreszcie w Turcji stosunki, które mu pomogły w r. 1571 osiągnąć na tronie moldawskim. Ale rzadko te były krótkotrwałe, zyskały sobie opinię okrutnych. Czy naprawdę takim był? Moldawia była wtedy terenem ścierania się rozmaitych wpływów politycznych. Magnaci polscy prowadzili tu dość śliską politykę, intriguując wśród bojarów i buntując ich nieraz przeciw księciu czy Turcji, z którą oficjalnie Polska była w dobrych stosunkach. Poza tym narastały w Moldawii i konflikty klasowe: zwiększał się ucisk warstwy chłopiejskiej przez bojarów niechętnych księciu Ioan Voda i stale się buntujących. Ioan Voda niewątpliwie nosił się z jakimiś zamiarami ograniczenia władzy bojarów, stał też powstała tradycja o jego okrucieństwie. Ale ambitny książę poza reformatorskimi pomysłami miał i własną koncepcję polityki zagranicznej, wręcał się do spraw polskich w okresie elekcji po zgonie Zygmunta Augusta, wreszcie naraził się Wysokiej Porcie i zginął zamordowany w r. 1572.

Cały epizod z Ioan Voda cel Cumplit związany jest więc wieloma węzłami z historią polską i stał wzbudza takie zainteresowanie u badaczy polsko-rumuńskich związków dziejowych. (Jeszcze w r. 1938 poświęcił osobie „Ormianina” małą rozprawkę „Ioan Voda Armeanul” inny badacz związków polsko-rumuńskich T. Holban, też dawny uczeń warszawski). Dr Chitimia, przeprowadza na podstawie zachowanych notatek Bogdana Petriceicu-Hasdeu analizę wszystkich źródeł, na których się oparł autor; są to w olbrzymiej większości źródła polskie, które Hasdeu znał doskonale; z ogłoszonych urywków i notatek widać, że był on zresztą niezwykle odczytany w literaturze polskiej, tak naukowej jak i powieściowej, że znał wszystkie ważniejsze utwory i dzieła, które współcześnie wyżyły w języku polskim. Wydawca nie ograniczył się do zestawienia tych danych, ale obierając je skomentował, dał cytelnika rumuńskiego, dając równocześnie, z okazji analizy „predispozycyj” psychicznych omawianego pisarza szeroko przedstawione tło, obraz kultury i literatury polskiej w pierwszej połowie XIX w., koniecznie dla zrozumienia wpływów polskich na twórczość jednego z najwybitniejszych autorów rumuńskich XIX w.

Wojna przerwała normalną pracę naukową w Polsce, zerwała kontakty istniejące między naszą nauką a zagranicą. A tymczasem nawiązane poprzednio związki wydawały swe rezultaty za granicą, w tych krajach, gdzie istniała ku temu możliwość, szereg przygotowanych poprzednio opracowań z dziedzin związków kulturalnych z Polską w przeszłości doczekało się publikacji. Do nich należy i omawiana przez nas praca Chitimia o Bogdanie Petriceicu-Hasdeu. Zadaniem odbudowanej nauki polskiej musi być nawiązanie z powrotem tych tak żywych związków z zagranicą, odrobienie 6-letniego opóźnienia i zapoznanie się z tymi wynikami, do których doszli badacze zagraniczni w swych pracach, dostępnych już obecnie dla naszej nauki.

Jan Reychnan

Zaprenumerować „ODRODZENIE”

można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego. Prenumerata kwartalna 87 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

STEFAN PAPÉE

Arcydzieło Sienkiewicza

Kiedy w 1911 roku ukazało się pierwsze wydanie powieści „W pustyni i w puszczy”, Wincenty Lutosławski ogłosił w „Tygodniku Ilustrowanym” entuzjastyczną ocenę nowego dzieła. „Śmiem twierdzić — pisał Lutosławski — że ta powieść przetrwa wszystkie inne, jakie napisał Sienkiewicz — tak jak „Treasure Island” przetrwała wszystkie pisma Stevensona, a „Robinson Crusoe” pozostaje dziś jedynym powszechnie znanym utworem tak utalentowanego i wszechstronnego pisarza, jakim był Daniel Defoe”.

Kazimierz Czachowski zestawiając w 1931 r. z głosów krytyków „obraz twórczości” Henryka Sienkiewicza opatrzył ten pogląd Lutosławskiego następującą uwagą: „Sąd w stosunku do innych utworów Sienkiewicza za rzeczyworthy. Autor zdaje się zapominać, lub niedostatecznie być przeświadczonym, że „Trylogia historyczna” ma w literaturze polskiej znaczenie nie mniejsze od „Pana Tadeusza”. Czy rzeczywiście „za rzeczyworthy”? Czy naprawdę „W pustyni i w puszczy” nie jest arcydziełem autora „Trylogii”?

Świeżo odczytanie nowego *) wydania „W pustyni i w puszczy” skłania mnie do sądu, że jednak prof. Lutosławski miał słusność.

Nim postaram się ten pogląd szerzej uzasadnić, przytoczę jeszcze kilka zdań, które pośrednio przychodzą mi z pomocą w tak wysokiej ocenie ostatniego z wykończonych dzieł Sienkiewicza.

Adam Grzymała-Siedlecki w 1912 r. wyznał: „Książka, przeznaczona dla młodzieży a jednak nie oderwałem się już od niej, gdy ją raz zaczął czytać — i cieszę się na myśl, że gdy przyjdą moje wakacje, odczytam ją po raz wtóry... Jestem pewny, że z tysiąca znakomitych pisarzy — jeden, kilku za ledwie potrafiłoby wykonać takie arcydzieło hipnozy, jakim jest „W pustyni i w puszczy”.

Profesor Konstanty Wojciechowski w pracy „Henryk Sienkiewicz” kilkakrotnie słusznie przedrukowywanej, bo to wciąż jeszcze najlepsza próba syntezy, pisze: „Przygody Stasia i Nel, to jakby Robinson polski w Afryce. Jest nawet Piętaszek (Kali), gospodarstwo (na górze Lindego), ale przede wszystkim jest w powieści to, co rozstrzyga o wartości wychowawczej i „Robinsona” i „W pustyni i w puszczy” — jej myśl przewodnia, choć ani razu nie wypowiedziana. Radź sobie w najtrudniejszych okolicznościach, jak możesz, przy użyciu środków, jakimi rozporządzasz. Pomysłowość małego Polaka jest istotnie zdumiewająca!... A cóż mówić o wychowawczej wartości bohaterstwa Stasia!... Słowem „W pustyni i w puszczy” to dla młodzieży powieść wprost wymarzona, jedna z najdoskonalszych, jakie istnieją”.

Czy tylko dla młodzieży? Czy nie można popatrzeć na ostatnie wykończone dzieło Sienkiewicza jako na najlepszy wyraz jego artystycznych i ideowych osiągnięć?

Przypomnijmy sobie, jak silnie powieść ta łączy się z całą twórczością Sienkiewicza.

A więc naprzód charakterystyka głównych postaci. Osmioletnia Nel Rawlison, Angielka, przyjaciółka Stasia, podobna do ślicznego obrazka, biedny, mały ptaszek, kwiatek rajski, jagniątko, mucha, córka księżycy, bożek murzyński, dobre Mzimu, i jak tam jeszcze tę małą istotkę w powieści się nazywa, to przecież siostra naiwnej, wdzięcznej „Hani”, ideału Henryka; to bliska krewna Kasi z „Sielanki”, która choć od Nel starsza, nie zdaje sobie również sprawy ze swych uczuć: to w podziwie dla wszechmocnego Stasia, który nawet burzom na morzu Czerwonym poradzi, powtórzenie pewnych cech Basi z „Pana Wołodyjowskiego” („Michałku, tyś największy wódz na świecie!”); to na koniec postać z mgły, zaróżowionej słońcem, prawie rówieśniczka Litki z „Rodziny Połanieckich”; wdzięczna dziewczeczka, wiosna, prawie tak niewiemska jak Danusia z „Krzyżaków” i tak zjawiskowa jak skrzypaczka Marysia z „Wierów”.

W całej tej galerii naiwnych postaci najmłodsza, wydaje się nam najprawdopodobniejsza. Główna jej cechą jest dobroć. Ujmuję się za płaczącą Fatmą, załasniam Stasia sobą, gdy ten ma być zbity korbaczem przez mściwego Beduina za próbę zamachu; okazuje wiele współczucia dla katowanego Kalego i dla biednej Mei; ratuje od śmierci słonia Kinga. W „Bajce”, wpisanej do albumu Wandy Ulanowskiej, wyraził się Sienkiewicz: „Dobroć serca jest tym, czym ciepło słońca — ona daje życie... to jedyny skarb niewyczerpany”.

Nel jest niezwykle dobra, równocześnie jednak naturalna i dziecinna; groźny Mahdi wyda się jej tylko „bryzdki i niegrzeczny”, gdy „dorosły” Staś powie o nim: „Mahdi jest gorszy, niż stado krokodylów”; pragnie ucho dzić za osobę co najmniej trzynastoletnią, ale często bez dostatecznego powodu bródka porusza się jej trząść i oczy się nagle „pocą”; zdobędzie się nawet na wielką stanowczość, gdy ujmie się za Kalim wobec Stasia, tupnie nóżką, krzyknie: „ja chce!” i... rozplacze się

serdecznie. W Stasia wierzy jak w opatrność, wdzięczna mu jest za wszystko, nawet za to, że nazywając wieś murzyńską na górze Lindego jej imieniem, wprowadził Nel do geografii, ale gdy zobaczyła jak Staś zmuszony był zabić prześladowców, nagle przestraszyła się swego przyjaciela i czuła przez pewien czas do niego uzasadnioną odrazę. Sienkiewicz otacza jej postać serdeczną miłością, nie czyni jednak z niej wyidealizowanego, przeczułonego dziecka, nie pozbawia jej wdzięku naiwności i komizmu, dzięki temu Nel wydaje się nam miłsza od swych poprzedniczek.

„Poważny wiek” czternastoletniego Stasia, podkreślającego nieraz „w moim wieku takie rzeczy się wie”, przypomina nam Henryka z „Hani”, dumnego z powierzenia mu opieki nad sierotką, a zachowanie się bohatera ma często odpowiedniki w przygodach Zbyszka z „Krzyżaków” i późniejszego Marka Kwiatkowskiego, „czułej duszy” i „starego wiarusa” z „Legionów”. Bohaterstwo Stasia jest jednak na najwyższą miarę — Skrzetuskich. Mniejsza o to, że gdy Gebhr uderzył Nel korbaczem Staś rzucił się na niego jak żbik; nawet i zachowanie się Stasia wobec Mahdiego, gdy nieczym rycerz niezłomny z „Niewoli tatarskiej” odrzuca pokusy wyparcia się wiary za cenę łask, nie budzi takiego uznania, jak te pozornie tylko małe zwycięstwa nad samym sobą, gdy Staś głoduje, byle Nel miało co wziąć do ust; gdy jej oddaje ostatnie proszki chininy, choć i jemu grozi febra; i na koniec, gdy udaje tylko, że pije, choć od trzech dni umiera z pragnienia, ostatnie krople wody przeznaczając dla ukochanej przyjaciółki.

Staś dokonuje nieprawdopodobnych czynów, gdy groźna rzeczywistość przewyższy wszelkie fantastyczne przypuszczenia, zaradność jego i pomysłowość są zdumiewające, przeprowadzi Nel cało przez pięć groźnych podróży, wydobędzie z „piekła na ziemi” w Ondurmanie, z „czeluści czarnego ładu”, zabije Beduinów, lwa, panterę, wyzwoli słonia, wygra wojnę z wrogami Fumby, okaże się niezrównanym strzelcem, jeźdźcem, myśliwym, geografem, przyrodnikiem, poliglota, zasłuży u wrogów na miano węża, lwiego szczenięcia, szatana wcielonego, a u przyjaciół, Szawajara Lindego, czy Anglika doktora Clary, bohatera, ale we wszystkich tych czynach jest naturalny, i choć „Stanley — jak powiada doktor — nawet Stanley nie wyżyłby w tych warunkach nawet trzy dni”, Staś żyje całe miesiące, a siła sugestii Sienkiewicza jest tak silna, że czytelnik w czasie całej lektury powieści, nawet czytelnik dorosły, nie wątpi, że tak być mogło i że Stasia jednak stać na to.

Sam Sienkiewicz, jakby zdumiony ilością dokonanych przez Stasia wyczynów, aż sześć razy, przy rozmaitych okazjach, rekapitułuje najważniejsze wypadki wyprawionej ostatecznie Nel, każąc w ten sposób, na kolanach ojca, streścić przebieg całej powieści: „I, tatuś! I nas porwali i wieźli na wielbłądach — i Gebhr mnie uderzył — i Staś mnie bronił — i przyjechalismy do Chartumu — i tam ludzie marli z głodu — i Staś pracował, żeby dostać dla mnie daktyłów — i byliśmy u Mahdiego — i Staś nie chciał zmienić religii — i Mahdi wysłał nas do Faszody — i potem Staś zabił lwa i wszystkich i mieszkaliśmy w wielkim drzewie, które się nazywa Kraków — i King był z nami — i miałem febrę — i Staś mnie wyleczył — i zabił wobo — i zwyciężył Samburów — i był zawsze dla mnie bardzo dobry, tatuś!...”

Czyż ten Staś, syn powstańca, w każdym momencie tak czyniący, aby ojciec mógł być dumny z niego, marzący jako o najwyższej nagrodzie, że kiedyś usłyszy od ojca: „Spisałeś się, jak na Polaka przystało”, Staś wykonywający na wielkiej gnejsowej skale, napis „Jeszcze Polska”, aby pozostawić najdroższemu ślad swego pobytu w tych stronach — nie jest z rodu Skawińskich, Zdanoborskich, Skrzetuskich, Zbyszaków?

Szwajcar Linde po wysłuchaniu przygód Stasia, podczas których przypatrywał się chłopcu ze wzrastającą ciekawością, często z wyraznym podziwem, rzekł, jakby w zamyśleniu:

— „Jeśli w waszym kraju jest dużo podobnych do ciebie chłopców, to nieprędko dadzą sobie z wami radę”.

A więc mamy tu tę samą intencję „pokrzepiania serc”, co w „Trylogii”, czy „Krzyżakach”, tę samą wiarę, że polscy chłopcy przeciwnościom i wrogom się nie dadzą. Czyny Stasia mają budzić bohaterstwo, mają pouczyć „jak rośnie, jak się uszlachetnia dusza w działaniach, wymagających wzmoczonego napięcia energii” (Siedlecki). Jeśli Sienkiewicz, pod koniec swej twórczości, tę wielką naukę moralną pokazał na życiu dziecka i od dzieci zaczął ją znów w Polsce krzewić, czyż nie dowodzi to przewidywającej zapobiegliwości i rozsądku nauczyciela narodu?

Portrety Stasia i Nel nakreślone są nie tylko bardzo naturalnie i wyraziście, ale z tym ujmującym humorem, z jakim Sienkiewicz zawsze mówi o dzieciach. Przypomnijmy sobie jeszcze postać sienkiewiczowskiego Piętaszka. Kali jest niezrównany jako murzyński

zariok, marzący o tym tylko, aby znowu coś dobrego zjeść. Po śmierci Gebhra, gdy poczuł się na koniec bezpiecznym, myśli jego krąży tylko dookoła jedzenia. Staś zabije lwa, Kali młaska zaraz językiem i powtarza „Msuri nyama” (dobre, dobre mięso). Upoluje Staś antylopy, natychmiast Kali rozetnie jej brzuch i wyjmując dymiącą jeszcze wątrobę antylopy będzie zachęcał Stasia do zjedzenia tego przysmaku. Zobaczyć słonia, natychmiast marzy: „Pan wielki zabić słonia, a Kali go jeść — och jeść, jeść.” Do Kinga ma wielki żal, że węża wrzucił do grzmiącej wody, bo „nioka jest dobra”. Nawet w czasie nauki religii, gdy Staś dochodzi do tego, że Kain zabił Abła, „Kali mimo woli pogłaskał się po żołądku i zapętał z całym spokojem: — A czy go potem zjadł?”

Kali najedzony staje się poetą-pieśniarzem. a marzenia jego nadal krąży około tematu, co by jeszcze można było zjeść.

Ta cecha, tak zabawnie pokazana, nie wyczerpuje oczywiście charakterystyki Murzyna, jest on i odważny i sprytny, próżny i wierny, dowcipny i rzewny, ale głównym jego rysem komicznym jest doskonały apetyt, którego mu nawet przestach nie zdoła umniejszyć, i dzięki temu jest on tak śmieszny. Że można Kalego zaliczyć do najkomiczniejszych postaci Sienkiewicza.

Mówiąc w 1913 r. „O swojej własnej twórczości” wyraził się Sienkiewicz na łamach tygodnika „Świat” — „W pustyni i w puszczy” powstało: „z miłości do naszych dzieci i ze wspomnień podróżniczych”.

Polowania były zawsze ulubionym sportem pisarza. Z poszukiwań przygód myśliwskich w Ameryce powstał w młodości obrazek „Przez stepy”, ze wspomnień myśliwskich w Afryce zrodziła się u schyłku życia powieść dla młodzieży. Nie zwrócono dotychczas jakoś uwagi, jak bliskie są sobie te dwa własne utwory. Biedna, bezbronna, delikatna „dziewczyna z jasnymi włosami i słodkim spojrzeniem”, Lilian, o twarzy prawie dziecinnej, jest starszą siostrą Nel. Jak ona szuka w przyjacielu pomocy, jak ona jest samarytanką, jak ona dwoi i troi swym nieograniczonym zaufaniem siły i pomysłowości opiekuna. Tkliwość i czułość są jej magnesem i mocą. Ralf, kapitan, opiekujący się całą karawaną, ciągnącą przez stepy, otacza ją rycerską miłością i pod wpływem miłości lekceważy sobie pustynię, dzikie zwierzęta, Indian. Na widok radości Lilian, woła prawie tak dziecinnie, jak Staś: „dam sobie radę ze wszystkimi; pobije, kto mi w drogę wlezie, i poprowadzę tabor choćby na koniec świata — i niech Bóg potępi moją prawą rękę, jeśli to nie jest prawda”. Na spalonych stepach ginie naprzód Lilian, potem z wycieńczenia Ralf traci przytomność. Kończy się więc obrazek amerykański tragicznie, afrykański pomyślnie. Staś i Nel też się pobierają, jak Ralf i Lilian, ale oboje naprzód wychodzą cało z przygód, znacznie niebezpieczniejszych, potem przez dziesięć lat dorastają z dala od siebie, wreszcie pan Rawlison oddaje swój skarb Stasiowi w opiekę.

Nie tylko sama anegdota obydwóch miłosnych historyj jest podobna. Analogia tkwi głębiej. Największą ozdobą „Przez stepy” są opisy przyrody. Ralf uczy czytać Lilian w wielkiej księdze natury. Staś jest takim samym cicerone dla Nel.

„W pustyni i w puszczy” to najprzyjemniejsza i najwszechstronniejsza lekcja geografii i przyrody, jaką znam. Sienkiewicz poprzeda ją „Listami z Afryki”, w których odnajdujemy szereg notatek, tak świetnie wyzyskanych potem w powieści. Wiadomości, zdobyte wówczas, odświeża jeszcze lekturą dzieł Sztolcmana, Le Roy, E. Reclusa, H. Warda, Lefebrea, na których się powołuje i zabiega o to, aby dać czytelnikowi barwny i dokładny opis wszystkich zjawisk przyrody. Zwidzamy więc Afrykę od Port Saidu po Chartum, od Omdurmana po Faszodę, docieramy aż do Momabassy, czyli poznajemy Egipt, Nubię, Abisynię. Oglądamy pustynię i oazy, dżungle i stepy, bezwodne krainy i wawozy. Burza i zamieć, pora dżdżysta i upały, piaski śpiewające i złudne fata morgana prezentują się nam po kolei. Krąży nad nami pelikany i czerwoniaki, żurawie i flamingi, papugi i tukany, kolibry i pospolite wróble i gołębie. Wokół pełno komarów, termitów, mrówek, dzikich pszczoł i motyli. Niczym w arce Noego, rosię tu od mała, lwów, dzikich kotów, antylop, bawołów, słoni wodnych, wielbłądów, żyraf, nie braknie nawet kozy. Z gadów i płazów występują na scenę np. najrozmaitsze węże, od boa poczynając a na niteczniku kończąc. Z flory mamy akacje, chlebowce, figowce, baobaby, osty, wrzosi, mimozy, begonie, słowem, czego dusza zapagnie. Sienkiewicz nie wylicza tych dziwów, ale je przedstawia w odpowiednim środowisku, w obranym właściwym momencie, nie poucza, tylko bawi i maluje.

Czytelnik zaprzyjaźnia się z wielbłądami, z psem Sabą i ze słoniem Kingiem i cieszy się z każdego radosnego szczekania Saby, które rozbrzmiewa jak grom i z każdego potężnego trąbienia Kinga, od którego pobliskie

drzewa mangrowiowe trzęsą się jak od wiatru.

Z niemniejszym zaciekawieniem, jak przyrodzie, przyglądamy się egzoicyzycznym ludziom: Beduinom, zabawnemu murzyńskiemu królikowi M'Rua, synowi M'Kuli, czarownikom z plemiona Wahimów, wojownikom samburskim, czy wreszcie tym bezimiennym Arabom, derwiszom i Murzynom, których poznajemy zwyczaj i zabobony.

Sienkiewicz żywi tylko odrazę do okrutnych Sudańczyków, wydaje mu się, że „bandy arabskie”, polujące na kość słoniową i niewolników, które zamieniły całą środkową Afrykę w ziemię łez i krwi, powstały przeciw rządowi egipskiemu, działającemu pod dyktando Anglii, tylko z niskich pobudek, brząc się przeciw prawu, które zmuszało grabieżców do porzucenia obrzydliwego handlu ludźmi i trzymało ich rozbójnicze zapędy w ryżach.

W ruchu Madiego nie widzi dążności niepodległościowych, którym przecież powinien był udzielić pełnego poparcia, tylko szal „dzikiego człowieka”, który wmówił w siebie i w otoczenie, że jest prorokiem posłanym od Boga, aby oczyścić wiarę i rozszerzyć ją mieczem po całym świecie. Dlatego nie szczędzi przygan prorokowi Mahdiemu, upajającemu się tak długo własną egzaltacją, aż wreszcie zatchnie się własnym tłuszcem i okrutnemu Abdullahiemu, ostatecznie pobitemu przez lorda Kitchenera.

Jako Europejczyk nie może się Sienkiewicz otrząsnąć z sugestii, jakoby protektorat angielski przynosił awans życiowy Murzynom, nie szczędzi jednak cierpkich przymówek i angielskim imperialistom, którzy wierząc widocznie, że „Anglia jest wieczna”, nigdy się nie spieszą i np. dzielnego Gordona pozostawiają w Chartumie bez odsieczy, a na wiadomość, że ucięto mu w czasie szturm głowy, zwracają z drogi, Europejczyków zostawiając na pastwę wrogom. Walki zwolenników Mahdiego stanowią tylko tło przygód Stasia i Nel. Czytelnik nie zastanawia się głębiej, kto ma słusność, czy rwący się do wolności „dzikus”, czy Anglicy narzucający siłą wyższą cywilizację, nie zauważa więc ideologicznych niedomówień Sienkiewicza, pochłonięty ciekawą lekturą przygód.

Z samej natomiast historii Stasia i Nel nabiera czytelnik wiary w życie, w zwycięstwo dobra nad złem, w znaczenie osobistej dzielności, pomysłowości i wytrwałości w pokonywaniu przeszkód, uczy się jaki powinien być stosunek człowieka do człowieka bez względu na jego wyznanie i rasę, jaki winien być nasz stosunek do zwierząt, jeśli mają się stać naszymi przyjaciółmi, a tych wszystkich podstawowych nauk dowiaduje się podczas lektury awanturnych przygód na tle egzotycznej, bujnej przyrody, przestając z postaciami nakreślonymi z ojcowską miłością, z wielkim artystyzmem i świetnym humorem. Nie mam zamiaru umniejszać znaczenia powieści historycznych Sienkiewicza w historii naszej literatury, a zwłaszcza w dziejach życia polskiego, ale wydaje mi się, że „W pustyni i w puszczy” w sposób najbardziej dojrzały, najbardziej artystyczny, zbiera najważniejsze cechy talentu Sienkiewicza.

Stefan Papée

Polska współczesna

WYNIKI SPISU LUDNOŚCI

Na podstawie spisu ludności, dokonanego w lutym br., wedle tymczasowych wyników podanych we wznowionych „Wiadomościach Statystycznych” (zeszyt 1, styczniowy, za rok 1946 — ukazał się w kwietniu) — liczy Polska 23 911 000 ludności, na ziemiach dawnych 18 600 000 (zaokrąglono), na nowych 5 000 000. Ludności miejskiej jest 7 400 000, ludności wiejskiej 16 202 000. Oznacza to 31 procent w miastach i 69 procent na wsi.

Najwięcej ludności zamieszkuje województwo poznańskie (2 424 000), krakowskie (2 129 000) i warszawskie (2 115 000), najmniej mazurskie (352 000), okręg Pomorze Zachodnie (598 000), województwo białostockie (920 000) i gdańskie (967 000).

Miast liczących więcej niż 50 tysięcy mieszkańców liczy Polska 22. Wśród nich pierwsze miejsce zajmuje Łódź (497 000), tuż po niej Warszawa (470 000). W grupie 200—300 tysięcy miast są dwa: Kraków (300 000) i Poznań (268 000). W grupie 100—200 tysięcy — siedem: Wrocław (168 000), Bydgoszcz, Katowice, Gdańsk (118 000), Zabrze, Chorzów i Częstochowa (101 000). Wyżej 50 do 100 tysięcy liczymy 11 miast, których lista zaczyna się Lublinem (99 000), kończy zaś Kaliszem (50 000). Są wśród nich Gliwice, Bytom, Szczecin (74 000) i Wałbrzych.

Podział administracyjny przewiduje dotąd 12 województw (warszawskie, łódzkie, kieleckie, lubelskie, białostockie, mazurskie, gdańskie, pomorskie, poznańskie, śląskie, krakowskie, rzeszowskie), 3 okręgi (Pomorze Zachodnie, Dolny Śląsk, Śląsk Opolski) i dwa miasta: Warszawa i Łódź.

js

*) Henryk Sienkiewicz. W pustyni i w puszczy. (Kraków), Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” i Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich, 1946; str. 455 i 1 nl.

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia”

Kazimierz Bleszyński: Ze wstydem — choć nie tylko, bo sprawa nie jest wcale aż tak znowu prosta — zmuszony jestem wyznać, że nie wydrukowałem dotychczas po wojnie ani jednego słowa. Czy wydrukuję — nie wiem. Na razie raczej wątpię. Z najrozsądniejszych względów. Utrata w powstaniu warszawskim całego dawnego dorobku. Brak tehu do nowego. Zbyt silny wstrząs! Olsnienie nadmiarem wolności — w rodzaju aż za dobrze znanym mi z lat młodzieńczych. Niemnie doświadczenia (skądinąd dobroczynne). Nadszpodziewany zalew od dawna zapomnianych, nieaktualnych wspomnień z byłej Kongresówki. Planowa gospodarka kontrolowanym słowem... Dla młodszych to drobnotka, urozmaicenie — lecz dla skamieniałości jak ja z czasów nieboszczki b. lewicy patriotycznej... Musiałbym się dopiero na nowo uczyć pisać. Słowem, wiadomo: naród musi być piśmienny, ale ta pojedynczy człowiek to niekoniecznie! Czasem lepiej uchoć się za starą ofermę wyranżowaną, niż... Hm, co?... Tutaj właśnie „reszta jest mieniem” (powiedział umiędaj ten oferna Hamlet).

Właściwie tedy nie mam żadnego powodu ani nawet prawa do zabierania głosu w ankiecie niniejszej. Jeżeli zaś to czynię — jeśli korzystam jednak z zaproszenia pisma, to tylko w tym celu, aby przy sposobności — gdy redakcja pozwoli — dać znać tym rozproszonym przez burzę po świecie nieletnim, których jeszcze losy me obchodzą, a na których serdecznie zależy mi, że żyje; przetrwam i ja również — przeszedłem, jak my wszyscy, bardzo wiele rzeczy złych i — jak już dzisiaj zaledwie wyjątki, oczekuję... gorszych. Oczekuję po każdej z niewielu możliwych ewentualności. Wiem, że rację na dzisiaj mają w życiu zawsze tylko optymiści. Nie wątpię. Dzięki Bogu! Jest ich też obecnie u nas wręcz zatępienie — przynajmniej jeśli sądzić z drukowanego słowa. Natomiast, co się tyczy szustności na jutro, to miewali ją w Polsce dotychczas, niestety, aż nazbyt często ludzie odmiennych zapatrywań niż dziesięć-polskie złudzenia optymistów — ludzie obdarzeni mniej u nas cenionym i od całych stuleci mało popularnym, a przecież tak potrzebnym szóstym zmysłem rzeczywistości, który stanowi w życiu każdego człowieka bodaj że najważniejszy dorobek lat dojrzałych.

Konrad Górski: Mam gotowe do druku trzy książki opracowane częściowo przed wojną, częściowo w latach wojny i mógłbym napisać teraz trafilarsę pt. „Trzy niepotrzebne dzieła w poszukiwaniu wydawcy”. Pierwsze z nich, gotowe w chwili wybuchu wojny do druku, to podręcznik historii literatury polskiej na drugą klasę liceów ogólnokształcących; drugie ma tytuł: „Studia nad literaturą antytrynarską XVI wieku na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego”; trzecie należy do studiów z zakresu teorii literatury i usiłuje postawić nową w pewnym sensie teorię poezji. Te trzecie rzecz uchwalia drukować Komisja Wydawnicza Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu pod warunkiem uzyskania na to odpowiednich kredytów z Ministerstwa Oświaty. Podręcznik dla liceów może znaleźć wydawcę, przynajmniej taka nadzieja zaczyna mi teraz świtać, ale te studia nad literaturą antytrynarską — mówiąc stylem Kochanowskiego — pójda „molom na pokarm albo na trąbki do apteki”.

Wreszcie mam gotowe jeszcze jedno studium o trzeciej części „Dziadów”, które przyjęła do druku redakcja książki pamiątkowej dla uczczenia jubileuszu jednego z naszych seniorów historii literatury.

Zamiarów i pomysłów na przyszłość mam dużo, ale co się z tego da urzeczywistnić, nie wiem, bo brak czasu przy nadmiarze zajęć jest wprost katastrofalny. Dlatego wolę nie mówić o tym, co się może nigdy nie wykluć. Przyznam się tylko do tego, że w obecnej chwili pociągają mnie ponad wszystko zagadnienia z pogranicza językoznawstwa i literatury.

Wojciech Rejnosz: Pracuję obecnie nad kilku zagadnieniami dawnego ustroju Słowian zachodnich, pozostającymi w związku z dotychczasowymi pracami moimi nad stosunkami prawnymi ludności wieśniaczej w Polsce, które zamierzam kontynuować. Chciałbym też podjąć dalszą pracę nad publikacją źródeł do historii prawa polskiego.

Jan Kott: Skończyłem obecnie przekład tomu opowiadań Aragona „Niewola i wielkość Francuzów”. Powinien ukazać się niedługo nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka”. W „Książce” wydzie również wkrótce wybór ogłaszanych w ciągu ostatniego roku szkiców i felietonów pt. „Po prostu”. Pracuję nad książką o powieści polskiej XIX wieku. Pierwsze rozdziały o „Lalce” Prusa będą miały niedługo gotowe. Chciałbym również zrekonstruować szkice o Diderocie i Prouście, które spaliły mi się w Warszawie. Miały one wchodzić do drugiego tomu „Mitologii i realizmu”. Wykonanie tych wszystkich planów jest całkowicie zależne od porzucenia dorywczej pracy dziennikarskiej i publicystycznej. A w tej chwili nie jest to jeszcze możliwe.

Tadeusz Kraszewski: 1. W najbliższym czasie wyjdzie z druku kilka moich drobiazgow dla dzieci. Nakładem księgarń Z. Gustowskiego — dwie wierszowane książeczki „Przygoda roztrzępanej Ewki” i „Skarżypyta bez kopyta” (niedawno wyszła w tymże nakładzie książeczka pt. „Bunt w podwórzu”) oraz tomik opowiadań pt. „Przygody Czarnusi”. Nakładem księgarń Wilaka wyszła właśnie książeczka pt. „Cudowny woreczek”. Mam przygotowaną sztukę marionetkową pt. „O Janku sierocie i strachu na wróble”.

2. Dużo czasu pochłania mi praca dziennikarska, nastawiona na publicystykę. Ziem. Odyskanych. Pracuję w Zachodniej Agencji Prasowej. W zakresie zainteresowań zachodnich przygotowuję broszurę pt. „O naszych Ziemiach Odyskanych”, popularne materiały odczytowe. Wyjdzie ona wkrótce nakładem PZZ.

3. Przygotowuję tom felietonów o Pomorzu Zachodnim dla Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych oraz powieść „Ziemia na Zachodzie” dla nieznanego wydawcy.

Julian Nowak: Napisałem podręcznik mikrobiologii w trzech tomach. Tom pierwszy obejmuje optykę mikroskopu, metodykę i technikę bakteriologiczną, szkic historyczny i bakteriologię, a mianowicie jej części ogólną, to jest morfologię i biologię bakterii. Tom drugi obejmuje część szczegółową bakterii i zarówno bakterie chorobotwórcze dla ludzi, zwierząt, owadów i roślin, jak i bakterie zaangażowane w dodatni lub ujemny sposób w gospodarstwie domowym, w rolnictwie czy w przemyśle. Tom trzeci obejmuje chorobotwórcze mikroby ultramikroskopowe, czyli przesełalne, mikroskopowe grzyby jako zaraźki i wreszcie pierwotniaki. Tytuł książki, a raczej książek brzmi: „Mikrobiologia i choroby zakaźne”. Rzecz została podzielona na 3 tomy, bo jeden tom byłby zbyt obszerny, a wskutek tego zbyt ciężki i w użyciu nieporęczny.

Zaletą podręcznika jest, że został on w znacznej części oparty na literaturze angielskiej, która szczęśliwym zarządzeniem losu miałam do rozporządzenia. Podręcznik posiada kilkadziesiąt rysunków, głównie z optyki mikroskopu i przeszło 700 mikro-fotografii zarażków wybranych spomiędzy około 6000 zdjęć mikro fotograficznych, jakie w przeciągu lat 30 porobiłem, co niepomniernie podnosi wartość podręcznika.

Wydanie powyższej rzeczy wisi na razie w powietrzu, gdyż zdaje sobie z tego sprawę, że publikacja taka w Polsce jest na razie rzeczą prawie że niemożliwą, musiałaby bowiem rzecz być wydana na najlepszym papierze kredowym, a to ze względu na mikro fotografację, do których klisze musiałoby być w wykonaniu jak najdoskonalsze, gdyż tylko w takich warunkach wydaje wartość zdjęć mikro fotograficznych.

Napisanie podręcznika, pomijając długoletnie doświadczenia naukowe, kosztowało mnie przeszło 7 lat ciężkiej pracy i aby umożliwić jego publikację — gdyż Polska obecnie nie posiada nic podobnego w języku polskim i posługuję się z musu w znacznej mierze podręcznikami niemieckimi, czego jednak być nie powinno — zamierzam udać się do fundacji Rockefellera w Stanach Zjednoczonych z propozycją, aby rzecz wydała po polsku i w Polsce na własny rachunek, to jest aby dochód ze sprzedaży w całości należał do niej. Ja zrezygnuję ze wszelkiego stąd płynącego dochodu; wolalabym

zaś rękopis raczej spalić, niż go wydać w lichej formie.

Choć to nie należy do właściwych zainteresowań „Odrodzenia”, to jednak odstąpię dalsze, już zupełnie osobiste, nie naukowe, obecne moje literackie prace, bo życie nie tylko z samej nauki się składa. Napisałem bowiem równolegle z podręcznikiem mikrobiologii inny podręcznik, a mianowicie książeczkę pod tytułem „Sztuka łowienia na wędkę pstrąga, lipienia i łosia”. Pisanie tej rzeczy świeckiej ułatwiał mi pisanie podręcznika naukowego — było niejako odpoczynkiem. Podręcznik taki mogłem napisać, bo jestem jednym z tych, co przed jakimiś 40 laty podnieśli w Polsce wędkarstwo na poziom sportu wyższego rzędu — mam zatem niepoślednio doświadczenie na tym terenie, dające mi możność ujęcia go w formie podręcznika, z którego wydaniem nie będzie, jak sądzę, trudności. Ponieważ nie miałam czasu na napisanie listu krótkiego, przeto napisałem długi i z pewnością dla długi, co proszę mi wybaczyć.

Stefan Papée: We wrześniu 1939 r. uległ rozsypaniu gotowy skład obszernej me książki „Teatr szkolny”, którą miało wydać Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych, równocześnie zagubiono rękopis. Odczuwam stratę tym bardziej, że gromadziłem od lat do tej pracy źródła również przypadki.

Po osiedleniu się latem w 1945 r. w Krakowie starałem się przyjąć z pomocą uczący się młodzieży przez szybkie wydanie niezbędnych tekstów literackich. Nakładem księgarń St. Kamińskiego ogłosiłem opracowania: wyboru lektur dla klasy VII szkół powszechnych, „Żeńców”, „Powrotu poia” i „Grażyny”. Z myślą głównie o potrzebach szkół ułożyłem jubileuszową antologię pt. „T. Kochanowski w literaturze polskiej”, wydaną również przez Kamińskiego. Dla celów aktualnych ukończyłem szkic literacki „Walka Sienkiewicza o Ziemię Zachodnią”, który ma się niebawem ukazać. Przekonałem się przy tej okazji, że od czasu ogłoszenia mej rozprawy doktorskiej „Sienkiewicz jako humorysta” (1921 r.), która zdążyła się jeszcze przed wybuchem wojny ukazać w drugim wydaniu, ogłoszono o Sienkiewiczu, poza antologią Czachowskiego, zaledwie kilka drobnych przyczynków. Nęci mnie więc bardzo opracowanie monografii. Czy jednak obowiązki nauczycielskie i zamiłowanie publicystyczne na tak duży wysiłek rychło pozwolą?

Dla dwóch innych prac, prawie gotowych — „Lektura o Polsce” i „Przeczki!” — czy kropka?” — poszukuję nakładcy.

Zofia Petersowa: Złożyłam w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” tom nowel pt. „Odwet”. Okupacja wyciskała rozmaite piętna na rozmaitych konstytucjach psychicznych i zmieniała wewnętrzne oblicza nawet Niemców. Wyzwalała w ludziach te lub inne ich właściwości, tajone impulsy, oraz ukryte kompleksy. Staralam się pokazać człowieka właśnie od tej jego „lewej strony”, takiego, jakim go wówczas okoliczności formowały.

Nad czym pracuję? Dla Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” przekładam „Wojnę i pokój” Lwa Tołstoja. Dwa tomy mają być gotowe jeszcze w tym roku, zaś następne dwa — w przyszłym. O rozmiarach pracy przy tym mówić chyba nie trzeba. Poza tym kończę na zlecenie również „Czytelnika” dzieła wybrane A. Czechowa. Będzie to tom humorystek o podłożu społecznym w przekładzie najlepszych naszych tłumaczy. Jednocześnie opracowuję tomik wesołych opowieści Czechowa dla dzieci.

Jakie są moje plany pisarskie? To chyba odpowiedź najtrudniejsza.

Podczas okupacji Instytut Wydawniczy „Spółem” kupił ode mnie dwa rękopisy. Czy spłonęły, czy znajdują się pod zawałonym domem — na razie nie wiadomo. Ludzie się, że będą uratowane. Jeżeli jednak nadzieja ta okaże się płonna, będę usiłowała odtworzyć je w miarę możności. Pierwsza książka pt. „Ścieżkami w głąb” były to opowieści o podkładzie czysto psychologicznym, osnute na tle życia i odczuć więźni, tj. człowieka, oddzielnego od świata krętami. Druga, pt. „Światła we mgle”, miała za temat pierwsze zetknięcia się dziecka z otaczającym je światem, od momentu trwania jeszcze w świecie bajkowym do okresu dojrzenia.

Zamierzam moim było wypełnienie luki w literaturze psychologicznej, która wskazana jest jako lektura dopełniająca dla młodych i kształcących się pedagogów, oświatowców i psychologów. Byłaby to polska praca w rodzaju książki Charlotty Buehler „Moje dzieciństwo”, którą posługiwano się w przekładzie.

Albo to są plany dalsze i może okazać się niepotrzebne.

Najbliższym moim zamiarem jest kontynuowanie pracy, której część pierwszą wyszła pt. „Wrzesień Warszawy 1939”. W drugiej — choć przejęcie okres okupacji aż do powstania warszawskiego, a w trzeciej — zamknąć resztę. Formę literacką utrzymam tę samą, jaką ma „Wrzesień Warszawy”.

Zdaje sobie sprawę, że jest to trud duży, bo zbierać muszę i zbieram materiał, zwłaszcza wszelkie tajne pisma warszawskie, których zakopane komplety zostały mi z piwnicy wyszabrowane. Bezmyślność ludzka nie ma granic! Byłabym za udostępnienie mi ich bardzo wdzięczna każdemu, kto je posiada.

To chyba wszystko. Czy wszystko? Brak jednego; rozważania poważnego zagadnienia: skąd wtedy czasu i takie możliwości, aby spokojnie oddać się tym pracom?

Kazimierz Sośnicki: Obecnie zostanie wydana „Dydaktyka ogólna”. Jest to podręcznik o charakterze uniwersyteckim w rozmiarach około 20 arkuszy. Zawiera on omówienie głównych zagadnień dydaktycznych w sposób porównawczy w stosunku do poszczególnych systemów dydaktycznych; stąd ma on raczej charakter opisowy niż normatywny.

Ponadto przygotowuję analogiczną „Pedagogikę ogólną”, która jest już prawie na ukończeniu. Rozmiary jej są prawie takie jak dydaktyki. Dokończenie jej jednak natrafia na bardzo poważne trudności wskutek powojennych warunków pracy, a zwłaszcza wskutek braku odpowiedniej biblioteki naukowej w Toruniu i niemożności nawiązania kontaktu z zagranicą. Ta ostatnia przeszkoda jest dziś zadaczną i jest ona tak groźna, że — o ile mi wiadomo — może ona odwieść cały szereg osób pracujących na polu nauki od ich pracy.

Pewien skrócony zarys tej pedagogiki zostanie niebawem wydany jako jej skróty przeznaczone dla zakładów kształcenia nauczycieli. Kilka innych poważniejszych prac z dziedziny pedagogiki czeka w rękopisach i materiałach, które ocalały przed zniszczeniem. Są to: „Kierunki pedagogiki XX w.”, „Idee i organizacja szkolnictwa krajów anglosaskich” i „Pedagogika polska i polski charakter narodowy”. Wykończenie ich zapewne nastąpi po ukończeniu poprzednich prac podręcznikowych.

Stefan Srebrny: Mam prawie całkowicie gotowe do druku dwie książki: 1. Przekład wszystkich siedmiu zachowanych tragedii Aischylosa i 2. Przekład czterech komedii Arystofana („Osy”, „Pokój”, „Ptaki” i „Tesmoforie”).

Brak tylko jeszcze większej części wstępów i objaśnień. Kiedy i gdzie będę mógł te rzeczy wydać, w tej chwili nie wiem.

Jeszcze przed wojną rozpocząłem pracę nad obszerną monografią o Aischylosie. Praca ta wymaga bardzo obfitego materiału bibliotecznego, toteż przerwając ją musiałem na czas wojny. Niestety, i obecnie warunki biblioteczne, w jakich się znajduję, nie pozwalają mi na wydawnicze posuwanie jej naprzód. Podobnie rzecz się ma z szeregiem ściśle specjalnych prac drobniejszych, dotyczących tragedii, komedii i mimu greckiego, które wymagają wykończenia i które chciałbym wydać po łącznie (w filologii klasycznej język ten dotąd używany jest jako międzynarodowy) w zbiorowym tomie pt. „Meletomata scaenica”.

Oprócz tego chętnie wydałbym zbiór drukowanych w różnym czasie po czasopiśmie i innych — często mało dostępnych — publikacjach artykułów z dziedziny starożytności klasycznej, literatury polskiej i teatrologi.

Witold Wiprzya: W tej chwili mam przygotowany do druku tomik wierszy i zastanawiam się, gdzie go wydać — możliwie szybko.

Poza tym, po raz pierwszy w życiu, próbuję sił w prozie. Rozpocząłem pisać opowiadanie. Niestety, wszystko to idzie dosyć wolno; praca dziennikarska pochłania zbyt wiele czasu.

PO POLSKU TYLKO NYSA

Do redaktora „Odrodzenia”

W artykuliu pomieszczonym w nr 18 (75) „Odrodzenia” stara się prof. A. Kleczkowski dowiedzieć, że słuząca dla oznaczenia 3 śląskich rzek i jednego miasta nazwa Nysa, przeze mnie ustalona, jest germanizmem. Uważa zatem, iż wrócić winniśmy do postaci Nisa. W wywodach swoich zapomniał prof. Kleczkowski zadmienić, że za formą Nysa prócz mnie opowiedzieli się, nowymi argumentami moje argumenty wzbogacając, prof. T. Lehr-Spławiński i prof. S. Rospond, ostatnio także prof. K. Nitsch. Widocznie argumenty moje w „Języku Polskim” (maj—czerwiec 1945) podane przemówiły im do przekonania. Warto dorzucić, że argumentacja prof. Kleczkowskiego nie przekonała i innych jeszcze językoznawców. Kiedy bowiem w październiku 1945 wyniki swolch na ten temat dociekał przedłożył na posiedzeniu Komisji Językowej Polskiej Akademii Umiejętności, na kilkunastu obecnych pięciu (w tym prof. Rospond i ja, prof. Lehra-Spławińskiego nie było na posiedzeniu) zajęło wobec też prof. Kleczkowskiego stanowisko zdecydowanie negatywne, jeden prof. Nitsch uznał niektóre z nich za godne dokładniejszego rozpatrzenia, inni się nie wypowiedzieli. Dla ścisłości dodaję, że niezależnie od prof. Kleczkowskiego za formą Nisa występuje nadto prof. M. Rudnicki z Poznania.

Nie będę powtarzał dowodów za formą Nysa przemawiających, nie będę też tutaj polemizował z argumentami przeciwników, rzecz bowiem nadaje się do czasopiśma specjalnego. Tych, których sprawa interesuje, odsyłam do świetnego krytycznego omówienia całej dyskusji, ogłoszonego w ostatnim zeszycie „Języka Polskiego” (marzec—kwiecień 1946) przez prof. K. Nitscha. Po ponownym rozważeniu argumentów prof. Kleczkowskiego i po starannym wniesieniu w rozumowanie prof. Rudnickiego dochodzi prof. Nitsch do następującego wniosku: „...mnie przynajmniej o wiele realistycznie wydało się i wydaje stanać na twardym gruncie uduku-mentowanej od XV w. rzeczywistości i oświadczyć się za Nysą”. Jakże proste i jakże wymowne ujęcie sprawy.

A więc Nysa. I dlatego, że tak mówi dziś jeszcze lud gómo-śląski, i dlatego, że tak w dawnych czasach mówiono powszechnie. Forma to prapolska i prasiłowiańska. W niemieckich ustach przybrała Nysa ostatecznie postać Neisse, jak Wysoka—Weis-sig itd. Otóż późno dokonana przeróbka niem. Neisse jest forma Nisa. Jest to przeróbka dokonana według znanej niemiecko-polskiej odpowiedniości: Meile — mila, Leine — lina itp. Jako forma nacechowana niemiecką, jako ukryty germanizm, powinna właśnie Nisa zginąć z języka polskiego. Po polsku tylko Nysa.

Witold Taszycki (Kraków)

FIGIEL TAJNIKÓW ARCHIWALNYCH

Do redaktora „Odrodzenia”

Zamieszczony w nr 72 „Odrodzenia” artykuł H. Dobrowolskiego i J. Sieradzkiego pt. „Śląskie odgłosy 1846 r.” poruszył na marginesie udziału Śląska w rewolucji 1846 r. sprawę, która domaga się sprostowania zarówno w imię prawdy historycznej jak i samej ścisłości logicznej. Wolno przypuszczać, że nawet w publicystycznym ujęciu pewnych zagadnień przeszłości, konstruowanie twierdzeń nie powinno rozmiąć się z nakazami metody historycznej i poprawności rozumowania.

Chodzi o sprawę braci Rymarkiewiczów z Poznania, czynnych w wielkopolskiej konspiracji powstańczej przed „wiosną ludów” a w szczególności udziału jednego z nich w przygotowaniach rewolucyjnych Krakowa tuż przed wybuchem lutowym 1846 r. Ta druga funkcja jednego z braci Rymarkiewiczów, w całości jego działalności konspiracyjnej raczej epizodyczna i mniej ważna, znalazła niekorzystne oświetlenie w zeznaniach b. dyktatora krakowskiego Jana Tyssowskiego, złożonych w czasie przesłuchania w twierdzy Königstein (1846). Eks-dyktator wyraził się, iż Rymarkiewicz należał do grupy „nicponiów z emigracji”, którzy tworzyli nastroje rewolucyjne w Krakowie, rozrzucając sztylety po lokalach publicznych i usiłować łączyć cele rewolucji polskiej z przewrotem „komunistycznym”. Według Tyssowskiego nie było wykluczone, iż młodzieńcy ci (a więc i Rymarkiewicz) byli podpalenymi prowokatorami.

W pracy mojej, wydanej przed laty szesnastu, pt. „Jan Tyssowski, dyktator krakowski 1846 r. Działalność polityczna i społeczna 1811—1857” (Warszawa 1930), opartej na szeregu źródeł archiwalnych, rękopiśmiennych i drukowanych — wspominając o tym jednym i przelotnym momencie zetknięcia się Tyssowskiego z działalnością Rymarkiewiczów, powołałem się na odnośny ustęp protokołu dochodzeń w Königstein (Vol. I. § 13) zrelacjonowałem opinię Tyssowskiego w petiitowym przypisie podtekstowym w oratio obliqua i zapastryżem w cudzysłowie te wyrażenia, które dla danej sprawy uznałem za szczególnie charakterystyczne. Ten sposób cytowania jest powszechnie przyjęty w tych pracach historycznych, gdzie powoływanie się na dosłowne brzmienie danego źródła, wymagałoby łaskawych przypisów, (w dodatku w tekście oryginalnym, więc nie dla każdego zrozumiałych), a dla kwestii drugorzędnych i zbędnych.

Powyższy szczegół zeznań Tyssowskiego, posłużył autorom artykułu „Śląskie odgłosy 1846 r.” do uku-cia dość efektownego, ale nieuczciwego zarzutu pod moim adresem, iż konspirator „włóczęgo po wiezieniach przez Austriaków i Prusaków...“ będącego później „uczniem polskiej akademii woj-skowej i uczestnika rozruchów we Włoszech...“ doknąłem uwiązającą kalumnię, „hańbiącym” i „oburzającym domysłem” prowokatorstwa, „na domiar pozbawionym jakichkolwiek podstaw”. Czy tak jest w rzeczywistości — można się zorientować już z powyższego, krótkiego przedstawienia sprawy Rymarkiewiczów.

Aby jednak rzecz gruntownie wyjaśnić, stwierdzam co następuje:

1) Autorzy podają na podstawie jednego, luźnego fascykułu aktów pruskiego landrata w Pszczynie (Acta Specialia des Königl. Landraths. Amtes zu Pless), że ścigani byli dwaj bracia Rymarkiewicz, Leon i Maksymilian, uczniowie gimnazjalni, przy czym nie podają przyczyn tego faktu (godne podkreślenia jest, że był młody ich nie-

zwykle ważny udział w tworzeniu „Związku Plebejuszy” w Wielkopolsce i na Śląsku, o czym wspominał w rozprawie, oddanej w styczniu br. Instytutowi Śląskiemu do druku, pt. „Śląsk a przygotowania rewolucyjne 1846 r.”). Stwierdzają dalej, że Leon Rymarkiewicz, aresztowany w Krakowie i tu skazany, wydany został następnie władzom pruskim, w związku z czym był „włóczęgo... mimo schorowania do Poznania i z powrotem do Krakowa”. Otóż tutaj obaj autorzy popełniają błąd zasadniczy, domagający się sprostowania: osobnik aresztowany w Galicji jako Leon Rymarkiewicz, nie był nim we własnej osobie, lecz tylko jego imiennikiem („sein oesterreichischer Namensvet-ter”), który pomyłkowo przez tożsamość nazwiska (a może z innych przyczyn) wpadł w ręce policji, przeszedł uderkę szupasową i śledząc w kilku kryminałach politycznych, wreszcie na skutek natrączywego domagania się Nadwornej Komisji w Krakowie (w związku z czym powstała cała korespondencja dyplomatyczna) został w ciągu r. 1847 zwrócony Austrii. Rzeczywisty L. Rymarkiewicz ukrywał się i zbiegł za granicę; aresztowano natomiast drugiego Rymarkiewicza, Maksymiliana, o czym autorzy nie wiedzą. Powyższe sześcioletni, niezna-ne autorom — opracowane zostały przez znawców tego okresu na podstawie archiwaliów wrocław-skich i inn. śląskich, już dość dawno przed wybuchem ostatniej wojny i opublikowane w czasopiśmie historycznym, następnie w monografiach, których lekturę autorzy w rażący sposób pomineli.

2) W rozumowaniu autorów tkwi też błąd logiczny. Gdyby nawet opisany przez nich Leon Rymarkiewicz był istotnie Rymarkiewiczem „włóczęgo po wiezieniach przez Austriaków i Prusaków” — gdzież jest podstawa do identyfikowania go z tym Rymarkiewiczem, którego Tyssowski zaliczył do grupy „nicponiów z emigracji” i przypuszczalnych prowokatorów, skoro — jak sami autorzy podają — było dwu braci Rymarkiewiczów?

Jak w świetle powyższych sprostowań i wobec pominięcia podstawowej dla danego tematu literatury wygląda patetyczna pointa artykułu: „W tym świetle hańbiący domysł, na domiar pozbawiony jakichkolwiek podstaw, a obalony przez nasze źródła, jest oburzający?” (podkreślenie moje).

Publicystyka naukowa ma piękne zadanie przed sobą: wysuwać nowe problemy i oświetlenia, wiązać je z życiem, pobudzać do dalszych odkryć, ale zawsze w oparciu o wyniki dotychczasowej literatury, zwłaszcza w ustalaniu stanu faktycznego. Publicystyka ta posługując się może — bez obawy o doniosłość swych tez — językiem spokojnym i opamowanym. Namietne wyrażenie oburzeń i zarzucanie bezpodstawności sądów przypomina raczej publicystykę polityczną. Tymczasem przypuszczać należy, że ani w charakterze artykułu ani w intencjach autorów — nie tkwiło nic z tej dziedziny. Dlatego wypada mniemać, że chyba tylko poplech w przygotowaniu artykułu i to przez dwóch autorów równocześnie — mógł spowodować zarówno wykazane nieścisłości i pominięcia, jak też pobudzić do aż nadto rażącego oburzenia i to pod niewłaściwym adresem.

Szkoda, że tak obszerny i tematem swym interesujący przyczynek do dziełowych 1846 r., który niemal jako pierwszy przeciwstawił się powodzi jubileuszowych, zbyt wyłącznie a niesłusznie z Krakowem i rabacją związanych artykułów — stał się ofiarą złośliwego diabła, czyhającego także w ukryciu archiwów na historyków, skorych do czynienia odkryć szybkich a ważnych. Ostrożnie z tym diablikiem!

Marian Tyrowicz (Kraków)

9 MAJ

Do redaktora „Odrodzenia”

Wydrukowany w nr 75 „Odrodzenia” mój wiersz „9 maj” powinien brzmieć:

Wraca maj nie słowików, nie kwiatów
Wraca maj pękających granatów.

Czerep bomby o ziemię bił twardą.
Serce zryte jak ziemia pogardą.

Wiatr pomierzył nad Wisłą ogrody.
W Renie czołgi napłyły się wody —

W błyskawicach posępnych magnesji
W krzyku mężobójczyń poezji —

Loreli wśród pocisków armatnich
Wciąga w topiel kochanków ostatnich.

Bijcie łbami o ziemię katedry!
Wierzyby polskie zmieniajcie się w cedry,

Słowa szorstkie wzbijajcie się w psalmy
Pod tęczkami fontann tryumfalnych!

Maju! maju! w twej nowej zieleni
Ślądą twoje lotniejsze spieszni,

Zejdą z aut twoje straża pancerne,
Straże wiosny do końca jej wierne.

Rozbrojeni już bracia pocisków.
Każy z skrzydłem historii w nazwisku.

Temu Cherbourg, tamtemu na imię
Don i Kaukaz, a czwarty był w Rzymie.

Rozbrojeni synowie zwycięstwa,
Rozbrojeni są z broni, nie z męstwa.

Ale płaczą z radości, że mogą
Broń pożegnać i sławę złowrogą.

I powrócić w dębowej zieleni
Do swych rąk ocalałych i żreńic.

Wśród majowych słowików i kwiatów
Z ziemi sterczą czerepy granatów.

Mieczysław Jastrząb

Niemcy wobec Słowian połabskich

Józef Widajewicz. Niemcy wobec Słowian połabskich. Poznań, Instytut Zachodni, 1946; str. 63 i 1 nl.

Instytut Zachodni bardzo szczęśliwie powziął myśl wydania tego niewielkiego, ale pożytecznego dzieła. Źródłowa praca doskonałego znawcy dziełowych Słowian połabskich winna się znaleźć w ręku każdego uświadomionego nie tylko Polaka, ale w ogóle Słowianina. Powinna też być jak najrychlej przetłumaczona na inne języki słowiańskie. Stawoć bowiem podstawę dzisiejszej naszej wiedzy o połabskich Słowianach i ich odwiecznej walce z nawałą germanizacji.

Przedstawia w niej autor, na podstawie najstarszych źródeł historycznych i rezultatów badań najnowszych, dzieje Słowian od II w. po Chr. do końca XVIII w. Tworząc początkowo odrębne państwa i państewka o rozmaitej sile rozwoju, jak republika Weleka, Obodryci, Ranowie, Serbowie, Stodoranie i in., dochodzą w VII w. do wielkiego związku ludów, przeciwstawiając się długi czas bohatersko zakusom prących od zachodu Franków, Bawarów, Sasów a w końcu Brandenburszczyków. Przetrwali tak wśród rozmaitych przemian aż do połowy XI w., przeżywając w tym czasie powrotny okres rozkwitu.

Od końca jednak X w. zorganizowany i systematyczny napór plemion germańskich na wschód, przez stworzenie mocno opancerzonej Marchii wschodniej i północnej, wwierca się coraz dalej sięgającymi kłanami pomiędzy poszczególne szczepy połabskie, rozsadza ich organizacje państwowe od wewnątrz intrygami, przekupstwem, koneksjami, a przede wszystkim zdradą i brutalnością, dwiema wrodzonymi rasie germańskiej „cnotami”.

Od trzeciej ćwierci XII w. państwa nadlabbie przestają istnieć jako samodzielne jednostki, popadając w zupełną zależność od Germanów. Odtąd zaś niemczenie się poszczególnych rodów książęcych, wszechstronnie przemysłany system administracyjny, wojskowy i kościelny, a w końcu wyraźny program eksterminacyjny w stosunku do Słowian polityki, doprowadzą do zupełnego wytepienia Słowian połabskich. Niedobitki ich zachowały się tu i ówdzie na pobrzużu do początku XIX w., a z większych skupień jedyni Łużyccy między Dreznem i Berlinem pozostali do dnia dzisiejszego, jako muzealne niemal okazy Słowian.

Książka prof. Widajewicza winna się znaleźć w każdej bibliotece szkolnej i nauczycielskiej.

*) Por. odpowiedź w nr nr 68—75 „Odrodzenia”.

TADEUSZ BREZA

„Wielkanoc“ Stefana Otwinowskiego



Stefan Otwinowski

Plac Bankowy w dawnej, niezburzonej Warszawie, był granicą dwu światów. Wewnątrz miasta znajdowało się miasto drugie, jak Watykan wewnątrz Rzymu. Niemcy otoczyli to miasto wewnętrznym murem. Za czasów polskich zamiast muru istniało kredowe koło, zakreślone w ten sposób na życzenie całego spłotu przyczyn. Ono zaś samo było źródłem pewnej szczególnej dziwności, a mianowicie faktu, że my wszyscy, spoza tego koła, nie wiedzieliśmy nic zupełnie z tego, co się dzieje w jego wnętrzu. O tym nie opowiadał nam nikt. Żaden Witkiewicz, taki, który pisał o Podhalu, ani Vincenz, który pisał o Huculszczyźnie, ani Majkowski, który pisał o Kaszubach. Żydzi, którzy byli na ustach wszystkich, i którzy podobno byli „naszym naczelnym wewnętrznym zagadnieniem politycznym“, a na pewno kamieniem probierczym, niezawodnie pozwalającym osądzić postawę każdego człowieka, pozostawali w swej egzystencji codziennej, religii i strukturze gminnej całkowitą abstrakcją. W wielosetysięcznej masie żyli jak za żelazną kurtyną. I kiedy śmierć przyszła na to miasto wewnątrz naszego miasta, dzieło jej znowu osłonięte zostało kurtyną.

Powstań w ostatnich latach było w Warszawie dwa. Jedno w kwietniu 1943 r. — żydowskie, drugie w sierpniu 1944 r. — polskie. Wyliczam je dlatego, że w obecnej Polsce większa część ludzi wybiera sobie z tych powstań jedno i tylko o jednym pamięta. Jest to kalectwo, głębokie zaburzenie w naszym procesie widzenia i jakaś niehumanitarna twardeść serca, która każe jeszcze po śmierci setkom tysięcy walczyć przeciw sobie o to, aby jeden ich zbiór wykluczył drugi z historii. Często bowiem słyszę takie oświadczenie, że polskie powstanie z 44 r. powinno zostać usunięte z naszej historii w cieniu, ponieważ było grubym błędem. Ale w takim razie, gdyby podobną zasadę stosować do pozostałych powstań historycznych, należałoby zwrócić się do naszej historii z tym, aby zamilczała o wszystkich dotychczasowych.

A znowu w uszach innych ludzi słowo „powstanie“ budzi najwyższe zdumienie, kiedy ludzie ci znajdują je związane z przymiotnikiem „żydowskie“. Sądzą, że nie może być mowy o powstaniu w przypadku aktu, który był na Żydach wprost wymuszony. To nie było powstanie — powiedziałaby tacy ludzie — ale zwykły odruch samoobrony. Jeżeli jednak chcielibyśmy trwać na stanowisku, że o powstaniu może być tylko mowa w wypadku aktu całkowicie samorządowego, który wydobyla się na powierzchnię dnia wyłącznie z inicjatywy strony powstającej, musielibyśmy z naszej historii wykreślić powstanie styczniowe, które przecież także wybuchło jako odruch samoobrony przed „branką“. Powstanie żydowskie było odruchem samoobrony, który wystąpił nie w obronie życia, ale w obronie śmierci. Był to czyn ludzki w swojej osnowie duchowej niezmiennie rzadki, a przez to tak godny.

Podobne wypadki, w których ludzie walczyli nie o własne życie, ale o własną śmierć, znane są w historii. Nacześnie jednak były to walki prowadzone w pojedynkę, o swoją śmierć osobistą, czasem o śmierć godną jakiegoś wojskowego oddziału. Natomiast grody całe, wielkie ludzkie grupy, zwykle dawały się wyrzucić bez oporu. Inaczej poszło Niemcom z ghettem w Warszawie. W imię więc czystej prawdy i pewnej proporcji historycznej, radziłbym tym, którzy nie lubią nazywać odruchu żydowskiego „powstaniem“, żeby go również nie nazywali „buntem“. To stanowczo za mało. Po pierwsze z tych względów, które wyżej przytoczyłem, a po drugie z tego względu, że fakt śmierci bohaterskiej

wszystkie słowa i okoliczności związane z nią zawsze przedstawia do awansu.

Sprawa ostatecznej tragedii warszawskiego ghetta jest nadal mało znana, pomimo cennych prac Żydowskiej Komisji Historycznej. Z powstania w 44 r. — polskiego — uszły tysiące świadków, z powstania żydowskiego, nawet procentowo biorąc, nieskończenie mniej. W tym momencie, w którym po odzyskaniu niepodległości można już było o obu powstaniach pisać, polskie powstanie było świeższe. Tak więc nie tylko pod względem ilości piór, mogących je zrelacjonować, ale również pod względem czasowym, powstanie żydowskie znalazło się w gorszym położeniu. O przyczynach sprawczych powstania warszawskiego wiemy dzisiaj stosunkowo wiele. Na piśmie, a zwłaszcza w słowie i w myśli.

O przyczynach sprawczych, które doprowadziły do powstania żydowskiego, nie wiemy wiele. Wiemy o niemieckim wyroku eksterminacyjnym. Ale nieznane nam są te wszystkie ohydne względy, które powodowały falowanie i zaburzenia w rytmie eksterminacyjnym, aż po końcowy powód, który doprowadził Himmlera do wydania nagłej decyzji ostatecznej masowej zagłady. Potwornością tej decyzji porażeni byli nawet pewni Niemcy. Z niemieckich kół konserwatywnych, które pozostawały w kontakcie z polskimi środowiskami arystokratycznymi, przypłynęło z Berlina do Warszawy takie oto wyjaśnienie przyczyn rzezi żydowskiej. Notuję je tutaj jako przykład fenomenalnej preżności niemieckiego samodurstwa. Oto Hitler — powiadano wedle tej formułki — nie zamierzał Żydów mordować. Skupił ich tylko w ghettach jako swoich zakładników. Trzymał ich pod strażą, żywych i zdrowych, aż do czasu gigantycznych alianckich bombardowań. Bombardowaniami ze sztabów i gabinetów ministerialnych kierowali Żydzi, którzy w państwach alianckich są w ogóle wszechmocni. Wtedy Hitler zagroził, że pomości się na ich rodakach, zaproponował handel polityczny. On miał nie tykać Żydów, alianci mieli zaprzestać bombardowania. Ale alianci odrzucili wielkoduszność Hitlera. Oni zatem są winni śmierci Żydów. Oczywiście fakty te — bombardowania i kaźń żydowska — nie mają z sobą żadnego związku. Przecież setki tysięcy Żydów w ogóle nie doczekały epoki wielkich bombardowań.

Wraz z żydowską hekatombą nie zginął antysemityzm. Ten okazał żywot twardszy niż miliony istnień żydowskich, które były jego ofiarami. Niedawno ktoś dowodził przede mną, obłudnie obżalując Żydów, że wciąż muszą się oni mijać z naszym współzuciem, — za czasów niemieckich ludzie się bali współzucia Żydom, bo to uczucie było z góry zakazane, dzisiaj zaś wiele ludzi nie chce żyć z Żydom współzucia, ponieważ to uczucie jest z góry nakazane. Ileż straszliwej małostkowości w takim stawianiu sprawy! I jakież to współzucie „wrażliwe“, skoro zwija się wskutek jakiegos przynaglenia.

Nie wolno jednak, zastanawiając się nad tym, poddawać się zniechęceniu i mniemaniu, że widać taki jest nasz wspólny przekleśty los. Przyszłość chyba zna jakieś sposoby, które na razie wydają się naszej teraźniejszości takie beznadziejne. Jak ich się dopracować? W gazetach nieraz czytamy sprawozdania z działalności Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, sam jestem w Krakowie prezesem Przyjaźni Polsko-Francuskiej. Jeżeli istnienie i prace podobnych organizacji rzeczywiście wydają owoce, przede wszystkim należałoby powołać do życia Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Żydowskiej. Niech ono nad tą obolałą sprawą radzi i szuka leków a głównie nie dopuści do tego, by każdy z tych narodów znowu cały nie spłynął w swoje własne, odgródzone, życiowe koryta.

Przypuszczam, że z myślą o niejedynej z powyższych spraw jury nagrody literackiej województwa krakowskiego przyznało ją w roku bieżącym niedawno wydanemu utworowi scenicznemu Stefana Otwinowskiego „Wielkanoc“ (*). Jest to utwór wart uwagi; jego wszystkie wartości — myślowe, artystyczne i nastrojowe — ocenić się dają w lekturze. Przeznaczony jest oczywiście na scenę i sądzę, że jest jej godny.

„Wielkanoc“ ujmuję czytelnika artystyczną powściągliwością. Mówi o tym autor przedmowy do wydawnictwa książkowego „Wielkanoc“. Wielkanoc ma to być data prowincjonalnego żydowskiego powstania w małym, nieznanym miasteczku. Sztuka Otwinowskiego zatrąca o to powstanie. Olbrzymi i ciężki temat żydowskiego wybuchu jest tu dotknięty z delikatnością. Niejako w próbie oswajania się z jego głębią i ogromem. Osób w sztuce jest niewiele, fabularny przebieg również skromny, słowo także skromne, bez błysków, bez ozdób.

Akcja w sztuce jest mniej więcej taka: Do wspomnianego miasteczka zagląda przed woj-

ną młody dziennikarz z Warszawy. W domu zajezdnym poznaje jego właścicielkę, starą Żydówkę, oraz parę jej inteligenckich dzieci. W czwartym roku wojny trafia po raz wtóry do tego samego miasteczka i spotyka tę samą żydowską dziewczynę, którą on, uspokoiwszy nie bez trudu własne nerwy, zabiera do Warszawy. Brat jej, przywódca i organizator żydowskiego zrywu, nie chce porzucić towarzyszy w walce i ginie. Sztuka posiada na bliższym planie grupę przedstawicieli polskiej inteligencji, rozmaicie zapatrującej się na problem żydowski. Filosemici noszą nazwiska słynne z dziejów walki o polską reformację, antysemita, zresztą raczej teoretyczny, Żydom w ich wielkim nieszczęściu ostatecznie pomocny — nazywa się Siciński.

Na dalszym planie mamy sztafę proletariacki.

Partie intelektualne sztuki Otwinowskiego dotyczą głównie kwestii żydowskiej i dosyć nieoczekiwanie połączonej z nią sprawy niedoszłej polskiej reformacji. Wydaje mi się, że oba powyższe zagadnienia — antysemityzmu i reformacji — winny chodźć luzem, ponieważ w świetle wypadków z ostatnich lat, zwłaszcza w ojczyźnie Lutra, aluzje do tego, że na czas wprowadzona reformacja chroni narody przed antysemityzmem, nie dadzą się zwycięsko pogłębiać. Zresztą uwagi Otwinowskiego, dotyczące polskiej reformacji, nie mają charakteru tezy. Różnych nazwisk ariańskich i różnych przypominek z historii naszej reformacji i ruchów oświeceni-

wych użył Otwinowski nie dla teorii, ale dla sztuki. I rzeczywiście spełniają one w dramacie Otwinowskiego szczęśliwie artystyczną rolę. Tak jak u Szekspira świat duchów, a u Wyspiańskiego świat greckich bogów.

Z całości sztuki najładniejszy jest prolog. Ma on wiele uroków ze sztuk Szaniawskiego i wiele uroków zupełnie samodzielnych. Sztuka w całości spięta jest piękną klamrą. To opowieść o starej studni w miasteczku. Jawi się ona na początku sztuki i powtarza po raz drugi na końcu, gruntownie odmieniona całą treścią sztuki, a zarazem — jak to nieraz bywa przy użytku takich pól symbolicznych pół-obyczajowych rekwizytów — mimo wszystko ta sama. Powracając natomiast do skromności Otwinowskiego (rzecz prosta samego utworu, nie autora), godne są pochwały i podkreślenia pełne umiaru i powtarza po raz drugi o samym zagadnieniu i o tragedii żydowskiej. „Tutaj swoi ludzie. Nie żaden problem wewnętrzny, ale po prostu najbliżsi sąsiedzi, nie żaden Żydzi, ale tacy sami ludzie jak my. Tuśmy razem od dzieci ze starą Freudową. Z domu Rózią Margulies!“

To jest prosty głos artysty, któremu przysłuchiwać się mogą, wierzę w to, najoporniejsi i zbłąkani. O podobne głosy winniśmy zabiegać pomiędzy sobą my, ludzie piszący. I podobnym głosem oddać w opiekę tę sprawę, która za każdym razem popada w stan beznadziejny, ilekroć się do niej zabiorą grube palce złej polityki.

Tadeusz Breza

JÓZEF SIERADZKI

Prawda — z błędami

Ksawery Pruszyński. Margrabia Wielopolski, (Warszawa), „Czytelnik“, 1946; str. 132 i 4 nl.

Ze szlacheckim rozmachem i fantazją dał Pruszyński wizerunek jednego z najwybitniejszych polskich polityków, Aleksandra Wielopolskiego.

„Dlaczego właśnie w toku tej straszliwej wojny napisałem mego Wielopolskiego i dlaczego wróciwszy do kraju pośpieszyłem go zaraz wydać?“

„Stało się to tak, że dosyć późno jak na to, co było potrzeba, a stosunkowo dosyć wcześniej jak na resztę naszej, zwłaszcza emigracyjnej, opinii publicznej doszedł do wniosku, że losy tej wojny, a z nimi i losy Polaków, rozstrzygną się właśnie gdzieś w brzozowych lasach Karelii, na pynlnych drogach wokół Smoleńska, Orszy, Mołajaska“.

Jak kiedyś Wielopolski, tak dziś Ksawery Pruszyński powdował się rozumem, który go zaprowadził daleko od dawnego środowiska i ustawił w szereg postępu.

Ale — w swym Wielopolskim popełnił on wiele błędów zasadniczej natury. Nie w ogólnej sylwetce bohatera i sylwetkach innych aktorów dramatu 1863 roku w Polsce. Wizerunek margrabiego wydaje się bardzo podobny do żywego oryginału. Tak jak wizerunek Andrzeja hr. Zamojskiego, uosobienia przeciwności, obywatela się bez programu, miłośnika i autora efektownych frazesów („czuję Polskę w powietrzu“, „kochajmy się, ale każdy u siebie“), poza którymi tkwił brak poczucia rzeczywistości, schlebienie płytkiej i płaskiej opinii rzeszy ziemiańskiej i unikanie decyzji.

Pan z panów, magnat z krwi i majątku, wykształcony na naukach prawno-historycznych i obyty w świecie, zachowujący dystans wobec narodu, dla którego gotów był pracować, lecz z którym nie szukał łączności, spóźniony okaz czasów oświeconego absolutyzmu („dla Polaków można czasem coś zrobić, z Polakami — nigdy“), — był Aleksander hrabia Wielopolski, margrabia Myszkowski-Gonzaga typem racjonalistą. Jak przed nim książę Drucki-Lubecki, doszedł do wniosku, że porozumienie z Rosją jest zarówno niezbędne jak pożyteczne. I — mówiąc językiem Pruszyńskiego — w porozumienie to włożył cały kapitał swojego nieprzećiętego rozumu.

Ma więc rację Pruszyński ukazując go takim i ma zasługę wobec nauki, że wywleka i ożywia wspomnienie istotnie pouczające. Ma również rację w wielu dygresjach w teraźniejszość, pisanych nieraz z irytacją. Ile razy wyczuwa się poza tym długie z rodakami rozmowy i gorsze od rozmów przepawy! Pasja wzbiera w Pruszyńskim z powodu ślepoty, ograniczenia i ciasnoty, wobec których beznadziejnie są nie tylko słowa, ale i fakty. Żywiłowy gniew na ludzi zbywających rzeczy najważniejsze frazesem, żyjących formułami, z których wiatr historii wywiał dawno wszelką treść.

Mimo to Ksawery Pruszyński jest tylko na wpół wyemancypowany w swych pojęciach i poglądach, co stanowi źródło błędów jego pracy o Wielopolskim.

W głębi duszy, a także na jej powierzchni,

Pruszyński żywi sentyment dla Mikołaja I. „Mikołaj I był bowiem jednym z najbardziej klasycznych monarchów z Bożej łaski, jakich ziemia kiedykolwiek nosiła“. „Historycy, którzy go pomawiali o nacjonalizm, nie mieli racji“. „Ten car był kosmopolitą legitymizmu“. „Jeżeli nienawidził Polaków, to przede wszystkim dlatego, że buntowali się przeciwko temu ustrojowi państwowemu, który jemu, Mikołajowi, najbardziej się podobał; to że Polacy mówili inną mową niż Rosjanie, chodzili do kościołów, a nie do cerkwi i mieli w herbie białego a nie dwugłowego orła, to były jeszcze usterki zupełnie do darowania“.

Adoracja dla ojca przechodzi i na syna. Aleksander II ma także dodatnie cechy. „Widział w Rosji konieczność, niewyraźnych co prawda, reform, doceniał ogrom cywilizacyjnego dystansu, jaki rosło z każdym rokiem między Rosją a Zachodem“. „Właśnie przeprowadzał u siebie w Rosji uwłaszczenie chłopów. Lawirując pomiędzy oporem konserwatywnych ziemian a buntami anarchicznych muzyków“.

„Zamiary reformistyczne cara dochodziły echami nad Wisłę“.

Takie naszkicowane, acz niedociągnięte linie, nadają mocno zlagodzone rysy przysłówiowemu żandarmowi Europy i jego następcy, który zagajał obrady nad projektem reformy włościańskiej w Rosji słowami, kto wie czy znanymi Pruszyńskiemu: „Mam nadzieję, panowie, że podczas rozpatrywania projektów, wniesionych do Rady Państwa, przekonacie się, iż uczyniono wszystko, co można było uczynić, dla zabezpieczenia przywilejów ziemian“.

W tym więc stanowisku Pruszyńskiego zawiera się jedno wykrzywienie historycznego obrazu, głównego tła, na którym monograf Wielopolskiego przeprowadza swoją rewizję.

Pruszyński ma zdecydowanie ujemny sąd o radykałach 1863 roku a także o chłopach. Już raz zabrakło mu względów „muzyk“. W związku ze wspomnieniem roku 1846 słyszymy naturalnie o Goncie i Zeleźniaku. W 1831 roku „masy chłopskie nie były dojrzałe do rewolucji i najwyżej były zdolne do tego, co przyszło w innym zaborze w szesnastym lat później — do rozboju“. Tak o pokoleniu, w którym Leon Kruczkowski odnalazł Deczyńskiego a Stefan Inglot naliczył w armii w chwili wybuchu powstania na 37 270 żołnierzy — 26 tysięcy chłopów. („Udział chłopów w obronie Polski“, Łódź, 1946).

A w roku 1863 wedle Pruszyńskiego „lud nie dał się poruszyć pomimo obietnic nadań ziemi, zwolnienia nie tylko od pańszczyzny ale i czynszów“. Taka synteza mogłaby się jeszcze ostać, ale ilustracje wprowadzone przez Pruszyńskiego nie starczą za wierny dokument rzeczywistości ani za podstawę dla uogólnienia o chłopach, którzy w Krasnostawskim wydali policji „podżegaczy“ wraz z księdzem, w Białostockim rozgromili partię, w Końskim tropili powstańców po lasach, w Kutnowskim zabili księdza reformata. „O faktach tych nie lubi wspominać legenda, ale niemniej są faktami“.

Są — i nawet liczniejsze. Ale nie stanowią one o całej prawdzie. Źródłowe studium Sta-

* Stefan Otwinowski. Wielkanoc. Wstęp Michała Maksymiliana Borwiczka. Okładka i rysunki w tekście A. Uniechowskiego. Kraków, Wydawnictwo Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej, 1946; str. 91 i 5 nl.

niśława T. Wrony („Chłopi w powstaniu styczniowym”, Warszawa, 1938) daje podstawy do zupełnie odmiennej opinii. „W partiach ks. Brzózki, Borelowskiego, Kurowskiego i Podlewskiego byli chłopi. W Garwolińskim 200 chłopów za sprawą proboszcza maciejowickiej parafii wykonało napad na Łaskarzew. Chłopi w lasach świętokrzyskich, iłżeckich, kowieńskich byli życzliwi powstaniu od samego początku. To samo na Podlasiu i w puszczy białowieskiej. Kurpie dawali samorzutnie cenny wywiad. Bosak, Czachowski i ks. Mackiewicz mieli pomoc chłopów”. „W miarę jak powstanie wznagało się na siłach, coraz wydatniej czynny udział brali w nim chłopi” — stwierdza Inglot. „Chłopi pańszczyźniani, ostrożnie i podejrzliwie wyczekujący na rezultat walki, z biegiem czasu coraz liczniej garnęli się do oddziałów powstańczych. I tak np. w Warszawskim, Włocławskim i Kutnowskim zgłaszało się w tym czasie tygodniowo po tysiąc i więcej ochotników, ale z powodu braku broni większą część musiano odsyłać do domów”. Agaton Giller twierdził, że w powstaniu biło się więcej chłopów niż szlachty. „W ogólnym poglądzie — zamyka rozważania w swej małej, lecz nader cennej pracy prof. Inglot — można stwierdzić, że pożytywno, bardziej życzliwy stosunek włościan do powstania zaznaczył się przede wszystkim tam, gdzie wcześniej było zniesione poddaństwo, gdzie chłop był zamożniejszy i bardziej oświecony, a także w tych okolicach, w których przechowywały się pewne tradycje walki z najeźdźcami...” „Fakt, że powstanie styczniowe, bez pomocy z zewnątrz, utrzymywało się jednak przez 16 miesięcy, byłby zupełnie niezrozumiały i niemożliwy, gdyby masy chłopskie zachowały się wobec niego tylko biernie”.

Gdzie tu miejsce na apodyktyczny sąd Pruszyńskiego: „Jedno pozostało pewne: ruch chłopski z powstaniem nie poszedł. Stał się przeciwko niemu”. I na słowa uznania dla markiza, że bez jego biurokracji i policji „milibyśmy nie jednego, niewątpliwie nie jednego, ale bardzo wielu Jakubów Szelów, a rzeź galicyjska miałaby w Królestwie Polskim rozszerzoną powtórkę”.

Strach przed zemstą ludu z czworaków i z mora mścicieli z piwnic i suteryn po miastach urosły do wkorzonej głęboko obsesji, z której nawet Pruszyński nie potrafił się otrząsnąć.

Ksawery Pruszyński wraca do czasów Wielopolskiego po naukę. Przechodząc na pozycje współpracy Polski z Rosją, nie daje jednak dowodów zrozumienia, że obie strony są w zupełnie innej sytuacji niż za czasów Wielopolskiego, w szczególności zaś, że Rosja współczesna nie jest mechaniczną kontynuacją imperium z okresu Mikołaja I i Aleksandra II. Polityk, który zdawał sobie sprawę, że rozstrzygnięcie wojny z Niemcami nastąpi na wschodnich obszarach Europy, oczekujący zimno i trzeźwo potęgę militarną ZSRR, nie rozumie jeszcze, pomimo niezaprzeczalnego rozsądku politycznego, wszystkich sprzeczności historycznych procesów. Realista Wielopolski wiązał się z monarchizmem w absolutystycznym wydaniu, któremu sam hołdował z tradycji i najgłębszych przekonań. Realista Pruszyński traci z oczu głębokie przemiany, których następstwem jest ekonomiczna i wojenna potęga Rosji.

Jeszcze bardziej jaskrawo wychodzi to na jaw w artykule jego „Z sztandarami i bronią” („Przekrój”, nr 53—54), w którym Pruszyński namawia żołnierzy armii polskiej na Zachodzie, by wracali do Polski, jak wrócili do niej legioniści spod znaków Napoleona po Kongresie Wiedeńskim. Jak gdyby dzisiejsza Rosja była Rosją z czasów Aleksandra I, a Polska — Królestwem Kongresowym! Taki historyzm musi spotkać się z najbardziej kategorycznym zastrzeżeniem. Pruszyński traci z oczu procesy, które dokonały się w ciągu 130 lat i zdaje się nie widzieć diametralnej różnicy między nową sytuacją a dawną z czasów Kongresówki, dni listopadowych i margrabiego Wielopolskiego. Wtedy chodziło o życie Polaków w ramach imperium rosyjskiego — dziś o współzycie niepodległej Polski z Rosją. Wtedy o państwo carów, dziś o związek narodów, które przeżyły rewolucję październikową.

Tak więc analogia Pruszyńskiego jest spłycona, pozbawiona treści i sensu historycznego. Więc i nauka jego dla współczesnych jest jednostronna i niewystarczająca.

Pruszyński zaczyna od gorzkich słów o dotychczasowych polskich monografiach, życiorysach, biografiach Kościuszków, Sobieskich, Mickiewiczów, Słowackich, Batorych, gdyż „postać opiewana staje się zaraz rycerzem bez znanego i skazy, jaśnieje nudą wszelkich cnót świata, jest wolna od wszelkich win i błędów, słowem staje się prawdziwym świętym, jeśli nie katolickiego, to na pewno narodowego kościoła”. Ale krytyk, znalazłszy się, jak to często bywa z monografiami i biografiami, pod urokiem postaci mądrego margrabiego, popada sam w grzechy, które gromi. Z monografii wyrasta obrona. Nie tylko ukazanie zalet, lecz apologia błędów. Niechęć do wszystkich przeciwników bohatera. Samej zbrojnej akcji z 22 stycznia odmawia Pruszyński jakichkolwiek sukcesów, choć z badań naukowych wiemy rzeczy zgoła przeciwne. Jest lekceważenie dla „czerwonych”. Spóźniona niechęć do chłopów. Nawet fatalna branka Wielopolskiego znajduje w oczach Pruszyńskiego usprawiedliwienie.

Bezstronny historyk nie powinien zapominać, że Aleksander Wielopolski, reformator

oświaty, w pewnej mierze też pańszczyzny i kwestii żydowskiej, pogromca „Hreczkosiej-skich, Poczewińskich i Mocimpańskich”, wybitna indywidualność z wielkim talentem politycznym, — podjął nieubłaganą walkę z rewolucyjnym ruchem polskim. Popierał używanie siły przeciw manifestacjom. Zaprojektował brankę.

Monograf niepotrzebnie został apologetą, monografia zaś stała się nową pozycją hagiografii narodowej.

Pomimo to wszystko pozostanie ona pozycją w literaturze naukowej, która powoli wchodzi na drogę rewizji i — na razie — przystaje po odbyciu pierwszego odcinka drogi. Pozostanie też jako doniosły dokument polityczny niedawnej chwili i dokument psychologiczny: odwagi myślenia, na które Pruszyński, jeden z niewielu, umiał się zdobyć.

„Cień Wielopolskiego wyłonił mi się z mro-

ków polskiej przeszłości i z mroków współczesnej mi londyńskiej emigracji”. Ksawery Pruszyński wdał się w walkę ze swym otoczeniem w Londynie. „Twierdziłem, że przez współdziałanie polsko-rosyjskie na polach bitew — pierwsze od Grunwaldu — może wytworzyć się polsko-rosyjska współpraca, płodna w przyszłości naszych synów, choćby ciężka za naszych dni”.

Cóż, kiedy przeciwnicy Pruszyńskiego „przez niepodległość Polski rozumieli bądź powrót do rządów przedwrześniowych, bądź odbudowę jej wedle recept Mussoliniego, Pétaina czy generała Franco”. I dotąd tęsknią do Berdyczowa i Witebska, choć już Wielopolski rozumiał sens traktatu wiedeńskiego z 1815 roku, który Polskę cofał za Bug. I dotąd szeptem pytają: — „Czy flota anglo-francuska już przybyła pod Częstochowę?”

Józef Sieradzki

Uwagi po konkursie

Pośród nazwisk nagrodzonych niedawno na konkursie Związku Zawodowego Literatów (konkurs na nowelę) przeczytałem nazwisko Stanisława Łukasiewicza z Warszawy, który nadesłał opowiadanie pt. „Grupa Granat”.

Konkursy jak wiadomo obsyłały przeważnie młodzi pisarze, którzy dzięki nagrodom zwracają na siebie uwagę wydawców i zdobywają publiczność. Tak przynajmniej było przed wojną. Dziś stosunki zmieniły się bardzo. To nie książki usiłują zdobyć czytelnika, tylko czytelnik stara się na wszelkie sposoby zdobyć jakąś wartościową książkę. Zjawia się nadto na literackim terenie specjalny typ czytelnika, który pisze się z dużej litery i w cudzysłowie — „Czytelnik” — który podobno czyha na parających się piórem i porywa im mokre jeszcze rękopisy z biurka.

W tych warunkach konkurs, jako instytucja, jest przeżytkiem zarówno pod względem socjalnym jak kulturalnym i literackim. Jeśli tedy konkursy spełniają dziś jakąś rolę, to spełniają ją tylko dlatego, że jakiś organ literatury nie funkcjonuje należycie, że coś w samej organizacji życia literackiego chrama. Konkurs Związku Zawodowego Literatów przyniósł prawie same nowe nazwiska, czyli według tradycyjnych pojęć udał się — zarzucana sieć zagarnęła obfity połów nowel. A jednak to tylko na pierwszy rzut oka wszystko wygląda tak składnie.

Nazwisko jednego z nagrodzonych, Stanisława Łukasiewicza, było z pewnością dla wielu, bardzo wielu czytelników nowe. Dziwić się temu nie można. Nie zapominajmy, że dzisiejsze młode pokolenie czytelników w chwili wybuchu drugiej wojny światowej czytało zapierające oddech książki o Siuksach, różne Duchy Puszczy i Robinsony. Wątpię, czy po epoce lodowcowej młode pokolenia nowych zwierząt od razu biegle rozpoznawały szkielet ichtiozaura od szkieletu dinozaura.

Dla trochę starszych jednak czytelników Stanisław Łukasiewicz nie jest debiutantem. Dla wielu był on już debiutantem w roku 1938, kiedy to otrzymał na konkursie „Pionu” nagrodę za świetną nowelę pt. „Obiad”. Nowela zdumiewała oddaniem życia, wspaniałym realizmem i wysokim kunsztem pisarskim. Okazało się wówczas, że „debiutant” naprawdę zadebiutował w 1927 roku w „Tygodniku Ilustrowanym” opowiadaniem pt. „Panie Wójcie czy słyszycie?”. W roku 1928 wydał tom nowel pt. „Senatorowie w mazurze” (Dom Książki Polskiej). W latach 1930—1938 ogłasza kilkanaście nowel na łamach „Kuriera Warszawskiego”. W roku 1936 wydaje u Hoesicka powieść „Nauczyciele”, a w roku 1938 w tej samej firmie tom nowel „Głód niezaspokojony”. Potem była wojna. A potem znowu szczęśliwie nam „zadebiutował” na konkursie krakowskim!

Jest to prawie symboliczny przypadek pisarza polskiego, który skazany jest na ciągle debiuty, czy książki polskiej, która musi ustaicznie przypominać się publiczności, bo tyle rzeczy sprzysięga się na jej literackie losy. Najważniejsze to brak ciągłości rozwojowej piśmiennictwa z powodu naszych katastrof narodowo-państwowych. Na następnym stopniu postawiłbym nasze wewnętrzne stosunki przedwojenne, które forytowały pewnych pisarzy, a innych usuwały w cień. Nie było to tylko śmieszne pomieszenie kryteriów artystycznych z zasługami politycznymi. Osłabienie zmysłu społecznego doprowadziło do wynoszenia utworów egotycznych, płodów jałowej wirtuozerii nad dzięła uboższe wprawdzie formalnie, ale bliższe życiu.

Powieść „Nauczyciele” zdobyła Stanisławowi Łukasiewiczowi rozgłos. Nie pomogło to autorowi, wprost przeciwnie zaszkodziło. Pisarz nie uszanował obowiązującego podówczas schematu powieścioparskiego — ani jednej

wzmianki o wymarszu z Oleandrów, brak „Pierwszej Brygady” w finale, czego przestrzegali nawet niektórzy opozycjoniści — zaczął swą historię od biedy i bezrobocia młodego polonisty, pokazywał piekło nauczycieli w pracy państwowo-twórczej i zakończył widmem bezrobocia i tułaczki bezbronnej inteligenta.

Najważniejsza przeszkoda rozkwitu literatury — niewola — zniknęła. Mamy nadzieję, że demokratyczne państwo nie powtórzy błędów elitarnych rządów i pisarzy otoczy opieką po prostu dlatego, że są pisarzami. Już sam brak papieru dość skutecznie hamuje zapędy grafomanii. Obecnie przechodzę do trzeciej naszej bolączki — do braku inteligentnej i sprawnej informacji literackiej. Nie krytyki — bo to inny zespół zagadnień — lecz informacji. Bolączka ta będzie się dawała coraz więcej we znaki w miarę, jak na widownię będą wchodzić nowe roczniki czytelników.

Zaczeliśmy nowy okres literatury od nawoływania do zrewidowania literackiego dorobku dwudziestolecia. Tymczasem w chwili obecnej najpilniejszą sprawą jest sumienna rejestracja tego dorobku. Rejestracja musi poprzedzić rewizję, musi stać się jej podstawą. Rewizja bowiem nie może być przypadkowa, uzależniona od sympatii czy antypatii poszczególnych publicystów do poszczególnych pisarzy, a zwłaszcza od niesystematycznego czytania przygodnych rewizjonistów.

Inteligentnie pojęta informacja literacka może tymczasem zastąpić żmudną i na dłuższą metę obliczoną rejestrację jak i jeszcze żmudniejszą i bardziej odpowiedzialną rewizję. W tej chwili na czoło zagadnień kulturalnych wysuwają się zagadnienia o charakterze praktycznym, jak odbudowa naszych bibliotek przez przedruki dzieł najbardziej wartościowych i najbardziej potrzebnych, porady dla kierowników, czyteln i świetlic nie mówiąc już o rzeszach czytelnicych. Na sumienną rewizję całego dorobku dwudziestolecia nie ma czasu czekać. Na dorywcza zaś nie wolno pozwolić. Stąd konieczność pewnego kompromisu, który nazwałbym informacją literacką o twórczości okresu międzywojennego.

Zadaniem tak pojętej informacji literackiej byłoby nie tylko zaspokojenie potrzeb czytelnicych i pomoc dla pracowników oświatowych, lecz także systematyczne przygotowanie materiału do rewizji i do nowego bilansu naszego dorobku literackiego. Związszcza czasopisma i wydawnictwa prowincjonalne wymagają niemało trudu. Warto przy tej sposobności zwrócić uwagę odpowiednich urzędów, że literacką bibliografią materiałów czasopiśmiennych zajmuje się od dawna docent U. J. dr Adam Bar, któremu by należało przez urlop płatny lub stypendium ułatwić ukończenie jego wieloletniej, mrówczej i nadzwyczaj pożytecznej pracy.

Wacław Kubacki

W teatrach krakowskich

CZY LEKARZ NIE MA CZASU NA MIŁOŚĆ?

Teatr Powszechny: „Tajemnica lekarska”, komedia w 3 aktach (5 obrazach) Wł. Fodora. Reżyseria: Irena Grywińska. Dekoracje: Karol Gajewski.

F. D. Roosevelt po trudach prac prezydenckich wypoczywał z powieścią kryminalną w ręku. Nie wyobrażam sobie bywalca teatru, który by nie doznawał miteg odprężenia, oglądając lekką komedię lub rzeźnie skrojoną farsę. Lecz w tyminalnej sekcji Roosevelt czytywał dobre powieści kryminalne a nie seryjne wyroby Wallace’a, a w produkcji komediowej obok mistrzów mamy partaczę, obok Francuzów, Węgrów i Niemców.

Sztuka Fodora jest tzw. pièce à thèse. Najbardziej dostępny rodzaj! Uwodzi amatorów lżejszych wrażeń „kasowym” tytułem, objaśnieniem: komedia, reklama, że akcja dotyczy małżeńskiego trójkąta, nieślubnego dziecka itp. I zacierają pulchne rączki, spodziewają się Verneulla lub któregoś z innych majstrów, a otrzymują — sztukę afektowaną, o poziomie filmowego melodramatu, źle zbudowaną, nudną, rozgadaną. Porównanie z Kiedrzyńskim — nawet „tym gorszym” — wychodzi na korzyść wszystkich Kiedrzyńskich. Nasuwa się pytanie: po co tłumaczyć i obnosić po Polsce takie budapestzeńsko-wiedeńskie produkty? Gdyby autorem „Tajemnicy lekarskiej” był początkujący polski scenopisarz, ostrzegalibyśmy go, że ulega łatwiznom i raz po raz utoyka na mieliznach; polskość autora uzasadniałaby jednak realizację sceniczną i obszerniejsze omówienie. Fodor rad nie potrzebuje, z wad się nie wyleczy, na nauki dlań za późno, a z publicznością łatwo dojdzie do porozumienia.

Otóż to właśnie: czy dojdzie? Czy „Tajemnica lekarska” przywabli publiczność i czy zechce ona z przejęciem roztrząsać okropnie mądre, głębokie i skomplikowane problemy, które jej autor do rozważania podaje? Czy wzruszy się i zatroska sytuacją utalentowanego malarza, zaniechanego przez lekarę-zonę, czy przejmie i uroni łzę z powodu dobroci szlachetności pani doktor odstępającej ukochanego męża gęsi-siostrze; i czy z całą powagą powita humorystyczną w swym sztucznym i napuszonym patosie scenę narad grubych ryb lekarskich na temat przerwania czy nieprzerwania niepożądaną ciążę? Fodor, stary spryciarz, spekuluje bez ryzyka na sentymentalizmie i kinowym przeszkoleniu widza, którym zamierza „wstrząsnąć”. Ale sztuce swą pisał przed wojną, a choć cudowną właściwością człowieka jest szybki powrót do myślenia typu przedwojennego — pewnych zagadnień i problemów nie da się chyba oglądać w przedwojennych okularach.

Sztuki w rodzaju „Tajemnicy lekarskiej” może uratować — do pewnego stopnia — wykonanie aktorskie. Teatr Powszechny włożył wiele upartego wysiłku w ułatwienie nam przełknięcia gorzkiego lekarstwa. Reżyseria troskliwie i pieczołowicie usiłowała je osłodzić, dekorator starał się jak mógł podać je w możliwie przyjemnym opakowaniu. Rezultat okazał się połowiczny. Grywińska i Adwentowicz opracowali drobniagowo swoje role: lekarki i zakochanego w niej profesora. Adwentowicz gierkami, wybornymi technicznie lecz obcymi w snubującej się na głębie sztuce, usiłował odmówić profesora i uzasadnić jego amory, w oczach widza spóźnione. Widz dostrzega też w małżeństwie Daroczy typową sytuację młodego męża u boku dojrzałej zony i gotów jest z całym pobłażaniem patrzeć na romans malarza; w ten sposób intencje autora ulegają wypaczeniu. Co zresztą nie znaczy, by gra obojga protagonistów nie miała wysokich wartości formalnych.

W drugiej parze wystąpili Osterwianka i Jabłoński. Byli młodzi, nie bez wdzięku przekonujący zwłaszcza w pierwszych odsłonach. Osterwianka jest chwilami zbyt sztuczna. Jabłoński mógłby bardziej kameralnie „wychodzić”, czyni to bowiem obecnie jak oficer na czele plutonu.

J. A. Szczepański

W DNIU WYDANIA
SETNEJ KSIĄŻKI
»CZYTELNIK«

OGLASZA KONKURS
NA NOWELĘ, OPOWIADANIE, REPORTAŻ LUB WSPOMNIENIE
ZWIĄZANE TEMATYCZNIE Z JEDNĄ Z CZTERECH BITEW
O WYZWOLENIE
LENINO
WARSZAWA
BERLIN
DREZNO

*
ŁĄCZNA SUMA PRZEWIDZIANYCH NAGRÓD WYNOŚI
ZŁ. 200.000.-
JURY KONKURSU STANOWIĄ:
PRZEDSTAWICIELE WOJSKA:
GEN. BRONI KAROL ŚWIERCZEWSKI,
GEN. BRYGADY KONRAD ŚWIETLIK
PRZEDSTAWICIELE LITERATURY:
STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI,
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ, LEON KRUCZKOWSKI
PRZEDSTAWICIELE »CZYTELNIKA«
JANINA BRONIEWSKA I ZOFIA DEMBIŃSKA
SZCZEGÓŁY KONKURSU PODANE ZOSTANĄ 15 MAJA 1946 R.

227

Nagrody literackie



rys. E. Głowacki

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI
otrzymał nagrodę literacką Warszawy
oraz Robotniczą Nagrodę Literacką
za całość twórczości.

Życie muzyczne w Krakowie

Koncert wielkoczwartkowy w Filharmonii był wieczerem muzyki religijnej. Jego główną i najbardziej wartościową pozycją było powtórzenie „Stabat Mater” Szymanowskiego w częściowo zmienionej obsadzie. Sam pomysł powtórzenia „Stabat Mater” uznać należy za bardzo szczęśliwy. Kompozycje tak wartościowe i dla naszej publiczności zbyt mało osłuchane i dla naszej publiczności zbyt mało osłuchane z muzyką nowoczesną — wciąż jeszcze przedstawiające pewne trudności, powinny być wykonywane nie raz, ale parę razy. Wtedy dopiero spełnią mogą swe zadanie „pedagogiczne”, to znaczy dotrzeć do słuchających i stać się dla nich prawdziwym przeżyciem. Że tak jest w istocie i że Szymanowski przemówił tym razem niezwykle silnie i bezpośrednio, tego dowodem była reakcja publiczności. Nowa obsada solowa stała na najwyższym poziomie. **Zofia Winsch-Pawlikowska** odśpiewała partię sopranową nienagannie. Podnieść należy zwłaszcza nieskazitelną intonację i dużą prostotę interpretacji. Pięknie brzmiał potężny alt **Stanisławy Hoffmannowej**. Prócz doskonałego opanowania muzycznego potrafiła się zdobyć na wyraz pełen wzruszenia i skupienia, dostępny tylko niewielu artystom.

Wspaniale inny charakter miały niestety dwa inne utwory, wykonane na tym samym koncercie. **Feliks Nowowiejskiego** wstęp do oratorium „Powrót syna marnotrawnego” jest kompozycją mało interesującą. Nie chodzi już o to, że pozostaje poza zdobyczami nowszej muzyki oratoryjnej, ale o rzecz znacznie poważniejszą: nie ma w niej nic szczególnego i bezpośredniego, motywy nie mają plastyki i wyrazu, faktura i budowa grzeszą brakiem zwięzłości i logiki.

Dużym rozczarowaniem były też „Pieśni wielkopostne” Jana Maklakiewicza. Konwencjonalność układu i harmonizacji, instrumentacja nie licząca z charakterem i przeznaczeniem tych pieśni, prymitywna i przykra przez ciągłe maksymalne natężenie dynamiki — to wszystko składa się na wrażenie absolutnego nieporozumienia. Nie wydaje mi się, żeby to była właściwa droga do szerszych, nawet najszerszych warstw słuchaczy. Łatwość i dostępność nie jest równoznaczna z prymitywizmem. A nie można chyba zrozumieć tego kroku twórcy tak wartościowych rzeczy jak „Koncert wiołenczeliwy” lub „Pieśni japońskie” inaczej, niż jako specjalne „nastawienie” się na „łatwą i dostępną” muzykę. Dla uczciwej, pełnej entuzjazmu pracy chóru Filharmonii jesteśmy z całym uznaniem. Pieśni Maklakiewicza brzmiały wprawdzie trochę surowo, wszystkie jednak wysiłki skierowano na niezwykle trudne i odpowiedzialne zadanie, jakie chór miał do spełnienia w „Stabat Mater” i z którego wywiązał się na ogół bardzo dobrze.

Na koncercie piątkowym z dnia 26 kwietnia wykonano jako nowość Divertimento młodego kompozytora polskiego, **Witolda Rudzińskiego**. Kompozycja ta napisana w okresie wojny (1940) i przeznaczona na orkiestrę smyczkową jest niewątpli-

Kraków — miasto muzyki



— Idźcie, dobry człowieku, na drugie podwórko — tam jest lepsza akustyka...

rys. Charlie

wie dziełem dobrego muzyka, świadomego swych celów i znającego swe rzemiosło. W formie i w typie inwencji opiera się na założeniach, które można określić jako neoklasyczne: świadczy o tym sam typ melodyki, umiar w stosowaniu środków harmonicznych i efektów instrumentalnych (co zakłada już zresztą sama obsada utworu). Najbardziej wytrzymała i najkonsekwentniej przeprowadzona wydaje się część druga. W pierwszej i ostatniej niezadko wkłada się jakaś nuta romantyczna, na ogół „nie w stylu” tej kompozycji i wywołująca przez to wrażenie pewnej obojętnej. Świadczy to wprawdzie o szczerości autora, ale równocześnie i o jego niepełnej jeszcze dojrzałości artystycznej.

Wykonana na tym samym koncercie Pierwsza Symfonia Kalinnikowa nie należała do atrakcyjnych numerów programu. Nie można zaprzeczyć, że autor ma pewien talent, ale ma również go jako „Czajkowskiego z drugiej ręki”. Biedrjaw dał symfonii koncepcję trafną i efektowną, nie zmienia to jednak faktu, że za wiele ostatnio podaje się naszej publiczności tego pokarmu. Muzyka rosyjska posiada wiele pozycji bardziej wartościowych i zupełnie prawie u nas nieznaną. Czy nie można by postarać się o materiały, by uzupełnić te braki w naszym wykształceniu w zakresie muzyki symfonicznej? Również muzyka sowiecka ostatnich lat jest u nas prawie nieznaną. Ten stan rzeczy powinien koniecznie ulec zmianie.

Solistą koncertu był Władysław Kędra, który wykonał z towarzyszeniem orkiestry koncert fortepianowy es-dur Liszta. Kędra jest znakomitym pianistą, urodzonym wirtuozem, posiada bardzo piękną technikę fortepianową, wszechstronnie rozwiniętą, przy tym porwający temperament, bezpośredniość i świeżość.

Z ramienia Biura Związku Zawodowego Muzyków odbył się w sali „Switu” recital fortepianowy Haliny Sembrat. Artystka przedstawiła bogaty i wartościowy program złożony z utworów Bacha-Busonięgo, Haydna, Chopina, Szymanowskiego, Albeniza

i Prokofiewa. Świadczy to jak najlepiej o jej ambicjach artystycznych. Równocześnie jednak było to przedsięwzięcie nieco ryzykowne ze względu na konieczność takiego programu wszechstronności ujęcia i interpretacji. A właśnie brak tej wszechstronności stanowi największą wadę artystki. Ma ona niewątpliwie talent i dużą rutynę techniczną, ale dźwięk jej nie posiada dostatecznego zróżnicowania: tym samym brzmieniem gra Bacha i Szymanowskiego, Chopina i Prokofiewa. Uderza przy tym dziwna jakaś obojętność na muzykę różnych rodzajów. Nie ma w artystce pasji, zapamiętania się, bez którego każda interpretacja jest pusta. Najlepiej wypadła Sonata Haydna, najsłabiej Bach i muzyka nowoczesna (z wyjątkiem jednego może Prokofiewa — i tu zresztą moment wirtuozowski w Toccacie wypadł błado). Gdzie szukać przyczyn tych braków w pianistce niewątpliwie zdolnej — nie wiadomo. Być może w jakichś nerwowych zahamowaniach, które nie pozwalają na naturalny i prosty stosunek do dzieła i uniemożliwiają należyte skupienie.

W przeciwieństwie do programu Haliny Sembrat program przedstawiony przez Alfreda Schenkera należał do rzędu tych, które budzą zastrzeżenia. Obok Sonaty Paderewskiego, Symfonii hiszpańskiej Lalo i paru drobnych utworów o mniejszej lub większej wartości zbyt wiele było rzeczy nieodpowiednich w recitalu o charakterze poważnym. Wszystkie wysiłki Schenkera skierowane są wyłącznie w kierunku pięknego, wyrównanego (ale nieco zbyt „słodkiego”) tonu i technicznego opanowania utworu. Wiadomo, że ma w tym względzie wybitne kwalifikacje i dużą sprawność, ale uwaga jego pozostaje zbyt wyłącznie na powierzchni utworu, za mało wnika w styl i wyraz. Nawet Symfonia hiszpańska Lalo, obracająca się raczej w sferze efektów wrzeliwowych, nie miała swego właściwego wyrazu. Ten wyraz leży przede wszystkim w rytmie porwającym, który nie otrzymał akcentów dość mocnych. Przy fortepianie Piotr Łoboz — spełnił swe zadanie jak najlepiej.

Stefania Łobaczewska

Mitologia i realizm

historyczno-literackiego przywrócić im byt realny, choćby przez zwyczajne osadzenie ich w ramach chronologii.

Artur Rimbaud urodził się w 1854 roku — zmarł w 1891.

Fryderyk Nietzsche ujrzał światło dzienne na dziesięć lat przed Rimbaudem w roku 1844 — pożegnał się ze światem w roku 1900.

„Les Illuminations” Rimbauda ukazały się w 1886 roku.

Z kolei weźmy pod uwagę daty powstania najważniejszych utworów Nietzschego: „Nardziny tragedii” — 1872; „Ludzkie-arcyludzkie” — 1878; „Wędrowiec i jego cień” — 1880; „Wiedza radosna” — 1882; pierwsza i druga część „Zaratustry” — 1883; trzecia część „Zaratustry” — 1884; czwarta część „Zaratustry” — 1885; „Poza dobrem i złem” — 1886; „Genealogia moralności” — 1887; „Zmierzyć bożyszczy” — 1888. Nad głównym swym dziełem filozoficznym — „Wola mocy” — pracuje Nietzsche od 1885 roku.

Jak widzimy większość dzieł Nietzschego wyprzedziła „Illuminacje” Rimbauda. Z przywiedzionych dat wynika dalej, że gdybyśmy na stulecie liczili trzy pokolenia, cztery, albo nawet pięć, to i tak Rimbaud nie mógłby w żaden sposób „na dwa pokolenia przed Nietzschem” pierwszy rzucać pytania „Co może człowiek?”, bo na dwa pokolenia przed Nietzschem (nawet licząc od roku 1889, od choroby Nietzschego czyli od zamknięcia twórczości) Rimbaud nie mógłby się w ogóle jeszcze urodzić.

W.F.

PRZEGLĄD PRASY

W piękny sposób miesięcznik „Wiedza i Życie” zainaugurował nowy okres swojej działalności. Artykuł **Stefana Czarnowskiego** „O powstawaniu nowej kultury” ma dzisiaj szczególny sens. Piszac w 1933 roku o powstawaniu nowej, konstruktywnej kulturze proletariackiej, znakomity uczony wypowiedział nadzieję, której urzeczywistnienie będzie i nam, w Polsce dane przeżywać: „Tym wszechstronniej i bujniej rozwinięte się ona, gdy przestanie ją kępować przemoc klas panujących”.

Sformułowane przez Stefana Czarnowskiego cechy kultury proletariatu winny stanowić dzisiaj vademecum każdego działacza oświatowego, każdego pracującego w dziedzinie upowszechniania sztuki i nauki.

Nowa kultura budowana jest z poczuciem ciągłości i uszanowaniem tradycji. Porzuca to tylko, co może stanowić podstawę uprzywilejowania, wyzysku, pasożytnictwa na cudzej pracy. Człowieka pracy nie trzeba przekonywać o wartości wytworów kultury. Robotnik domagający się słusznego wartościowania własnego wysiłku rozumie wartość wysiłku innego. Domagając się udostępnienia dóbr kulturalnych nie żąda jałmużny, filantropii. Pragnie mieć takie warunki, by móc za pośrednictwem instytucji państwa, którego jest gospodarzem, wiedzę i wzruszenia artystyczne nabywać.

Tych, którzy byli w Związku Radzieckim, którzy mieli możność w teatrach czy świetlicach fabrycznych rozmawiać z robotnikami, zaskoczył szacunek powszechny dla kultury i jej pracowników. U podstaw tego szacunku znajduje się zrozumienie wartości wysiłku przez ludzi, którzy na pracy egzystencję swoją zbudowali.

U nas pokutują jeszcze przyzwyczajenia przeszłości. Mieszczańsko-ziemniańska klasa panująca, brzydząca się wysiłkiem jakimkolwiek, „podnosiła” do swojej „rangi” uczo-

nych i artystów przez wmówienie im bezinteresowności życiowej. Literat miał być wiecznie głodny i obdarty. Poeta liryczny miał żywić się korzonkami i lemoniadą. Tego typu nałogi „myślowe” pokutują i dzisiaj. Upowszechnienie kultury odbywać się musi na zasadach zdrowych. A wiadomo chyba dostatecznie, że filantropia jest objawem chorobowym.

Mecenat państwa jest sprawą złożoną i nie wyczerpuje się jednostronnie. Obieg dóbr kultury jest, a jeśli nie jest, to będzie szeroki. Dla zrozumienia całości zagadnienia warto przeczytać artykuł **Stefana Oświecimskiego** w miesięczniku „Meander” (nr 2) „Blaski i cienie mecenatu państwowego w Rzymie”. Współczesny mecenat nie będzie spełniał roli cenzury politycznej i bodźca formalnego. Nie ma obawy, aby minister Kultury i Sztuki chciał uprzywilejować takie, a upośledzać inne formy poezji, malarstwa, czy prozy. Od czynnika państwowego oczekiwani będziemy w dalszym ciągu uszanowania prywatnej inicjatywy formalnej. Należyte wyposażenie natomiast artystycznych związków zawodowych, poprawa życiowej pozycji pisarzy i artystów stworzy między nimi i społeczeństwem więź istotnie mocną, która z kolei umożliwi Ministerstwu Kultury i Sztuki realizowanie wielkich, ogólnonarodowych planów kulturalnych.

Najważniejszą sprawą wciąż jest zwalczanie starych nałogów. Rozprawdzajmy w społeczeństwie wszystkimi drogami przekonanie, że tylko praca warunkuje wszelkie wartości. Że różnica między mostem kolejowym a książką poezji polega na materiale użytym do budowy. Że każdy wysiłek twórczy ma wartość społeczną, bez względu na formę, w jakiej się on przejawia. Rezultatem bezpośrednim „propagandy” tego typu będzie zatarcie istniejącego dystansu między twórcami kultury a jej konsumentami. Problematyka naukowa i artystyczna przeniknie w najszersze kręgi spo-

łeczne. Skończy się okres izolacji tak szkodliwy dla rozwoju kultury. Pamiętamy gorzkie słowa **Stanisława Wędkiewicza** zwrócone do społeczeństwa na krakowskim zjeździe uczonych w styczniu, że nie interesuje się ono dostatecznie sprawami nauki, nie wysuwa postulatów, nie krytykuje tendencji.

Widoczny jest wysiłek artystów i naukowców polskich, z jakim pragną wyjść oni z izolacji. „Życie Nauki” przyniosło szereg ważkich wypowiedzi dyskusyjnych na temat organizacji życia umysłowego. Głosy te winny wywołać zainteresowanie powszechne. Charakterystyczna jest tendencja do łączenia się w związki zawodowe pracowników nauki (artyści posiadają już ramy organizacyjne tego typu). Rozpowszechnienie się w społeczeństwie przekonania o wartości pracy twórczej osłabił jednostronność tych tendencji, u których podstaw (projekt lubelski) znajduje się niekiedy wyłącznie czynnik materialny.

A wiemy dobrze, że spraw kultury nie da się już dzisiaj wyłączyć i rozpatrywać oddzielnie. Postęp wiedzy ściślej, możliwości praktyczne zastosowania odkryć w ostatnim dziesięcioleciu dokonanych stawiają ludzkość wobec nowych warunków i nowych niebezpieczeństw. **Tadeusz Unkiewicz** pisze w „Problemach” o tej „niebezpiecznej dysproporcji XX wieku”. Przed humanistyką i życiem społecznym leżą ogromne zaległości. Powstaje nowy typ kultury. Grozi jej jednostronność. Nie ma człowieka, który nie byłby tą sprawą zainteresowany. Po prostu przyszłość Ziemi od tego zainteresowania zależy.

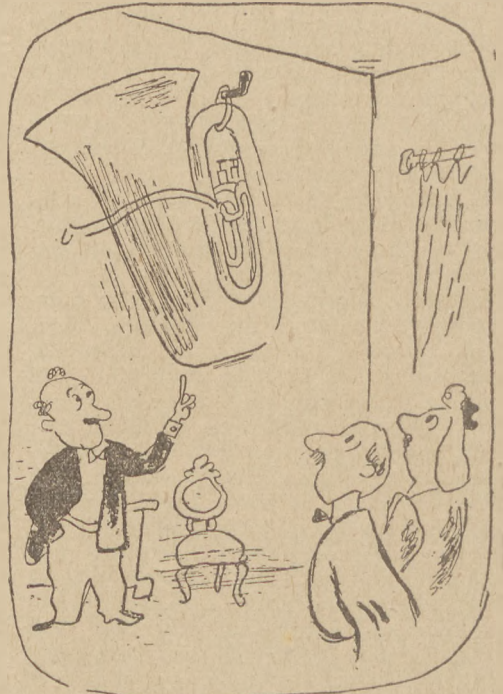
W naszych warunkach upowszechnienie kultury musi dokonać się szybko, bo zaległości są podwójne. Uwagę wszystkich zainteresowanych (a któż zainteresowany nie jest?) zwracamy na miesięcznik „Problemy”. Jest to pismo (niestety, za mało rozpowszechnione) popularyzujące (w najlepszym tego słowa znaczeniu) wiedzę i kształcące wrażliwość artystyczną. W trzech zeszytach, które się dotychczas ukazały, znajdujemy prace gruntowne z dziedzin: fizyki, astronomii, socjologii, biologii, ekonomii, literatury, plastyki i in.

Zwraca uwagę porównawcza praca zbiorowa o potencjale gospodarczym Polski przed i po wojnie. W zeszycie 3 **Stanisław Róg** pisząc o górnictwie i przemyśle wykazuje statystycznie wzrost bogactwa narodowego, który np. w przemyśle budowlanym wynosi 194% przedwojennego, w przemyśle metalowym — 80%, w górnictwie — 147% itd. **Aleksander Donat** pisze o detronizacji nauki niemieckiej. **Artur Ber** zdaje sprawę z najnowszego stanu wiedzy o pici. **Bolesława Twardowska** zamieszcza rozprawkę o promieniach kosmicznych, a **Władysław Kapuściński** o możliwości życia we wszechświecie.

Wszystkie prace napisane świetnie są przystępne i łatwo kształcące. „Wiedza i Życie” kontynuując stare tradycje poświęca uwagę przede wszystkim humanistyce. „Problemy” zwrócone są w stronę nauk ścisłych. Chociaż czynione są — i trzeba podkreślić: bardzo cenne — odchylenia. Zamieszczona w zeszycie 3 rozprawka **Jerzego Wolffa** „Umiejętność widzenia dzieł sztuki” jest doskonałym, ściśłym przewodnikiem po trudno dostępnym na ogół kraju formy malarskiej. Autor wtajemnicza w sprawy tak ważne dla percepcji dzieł plastycznych jak: kolor, linia, barwa, przedstawia subtelny rolę kontrastów, uzupełnień. Wywody swoje „ilustruje” analizą formalną arcydzieł sztuki. Praca bardzo wartościowa!

Prasa popularyzująca naukę i sztukę winna trafić do szkół i świetlic robotniczych. Powiększy wiedzę i wrażliwość w społeczeństwie, a od tego przecież zależy wielkość nauki i sztuki polskiej. **zb**

Skutki wojny



— A to otrzymaliśmy z amerykańskiego demobilu...

rys. Charlie